



B. 29

Wydawnictwo Imienia Dyonizego Wegnera.

II.

Ostatni z Piastów.

Powieść historyczna z XIV wieku.



Poznań.

Nakładem funduszu ś. p. Dyonizego Wegnera.

Drukiem Fr. Chocieszyńskiego.

1899.

Kran-¹565



1086 D 26

W S T Ę P.*)

W wielkiej sklepionej sali krakowskiego zamku, na szerokiem łożu skórąmi i suknem okrytem, spoczywał z twarzą wybladłą i oczyma zamkniętymi, oczekiwał śmierci król, co przeszło pół wieku walczył dla połączenia w jedno rozszarpanego dziedzictwa Mieszka i Chrobrego — Władysław, Łokietkiem zwany, mąż wielki małego ciała, a potężnej ducha siły. Teraz gaś powoli, bo życia ogień wypalił się w nim do dna.

Zakonnik stojący w nogach łoża, pobożny dominikanin Heliasz, już był przejednał króla z Bogiem, opatrzył Sakramentami św. na drogę do wieczności. Tuż przy łożu klęczał młodzieniec w kwiecie wieku, silny i piękny, wpatrując się z boleścią w twarz chorego. Królowa Jadwiga, klęcząc opodal łóżka, powtarzała z płaczem modlitwy, czytane głośno przez niewiastę w długiej szacie zakonnej. Król zdawał się usypiać. Wszyscy przytomni usunęli się po cichu do przyległej komnaty, jedynie syn, klęczący przy łożu, pozostał przy ojcu. Do łoża umierającego przykuwała go miłość, wdzięczność i ta troska o przy-

*) Powieść ta opracowana jest podług J. I. Kraszewskiego: „Król chłopów.“

szłość, która go jakby ciężkiem tłoczyła brzemieniem. Łzy błyszczały w oczach jego.... Złotą była korona, którą miał włożyć na skronie, ale ciężką.

Nagle lekkie drganie przebiegło po obliczu umierającego, powieki dźwignęły się z trudnością i z głębin ich blado zaświeciły oczy. Oddech piersi stał się głośniejszym i głucho dobył się z nich głos:

— Kaźmirzu!

— Jestem — odparł syn, z cicha schylając się nad chorym.

— Jak za mgłą cię widzę — szepnął król nieco wyraźniej. — Wody! pragnienie pali! — dodał ciszej.

Syn pospieszył wlać mu w usta kilka kropel orzeźwiającego napoju.

— Czy to noc? — zapytał.

— Wieczór późny.

Król potoczył po komnacie oczyma, jakby się chciał przekonać, czy byli sami. A potem zdobywając się na głos z ostatniem wysileniem, mówił prędko.

— Koronę niech ci włożą niezwłocznie! Niech cię namaszczą. Bóg z nią moc daje. A potrzeba jej, aby utrzymać wszystko w jednej dłoni. Polskę całą, Kujawy, Mazowsze, Pomorze.... Pomorza nie ustąpić nigdy! Tamtędy droga w świat jedyna wolna, w koło wrogi, bez niego więzienie...

Tak mówił król, odpoczywając chwilami, Kaźmirz słuchał pochylony.

— Mazowsze posłuszne ci być winno.... Śląsk zniemczony, czy przepadł?

Mówiąc to, przymknął powieki, ale natychmiast

otworzył znów oczy i cichym szeptem tak dalej prowadził:

— Z siostrą, z Węgry musi być wieczne przy-
mierze, za ręce się trzymajcie oboje... Przy Rzymie
stać wiernie, bo tam głowa nasza i siła — szep-
nął niewyraźnie i poruszył się niespokojnie. — Znaj-
dziesz ludzi dobrej rady, Jaśka z Melsztyna, mąż
prawy.... Ziemianie wierni, rycerstwo dobre, dobre
ale nie oni jedni.... Jest ubogi lud, biedne chłopki
— to bracia nasi, pamiętaj! Pomnę, gdy z tuła-
ctwa powrócił sam jeden, nie miałem w ówczas ni-
kogo. Ziemianie nie chcieli mnie, zamiast rycerstwa
szli za mną chłopki z siekierami Polskę budować.
Szli i bili się.... a dopiero po nich przyszła szlachta,
na końcu barony i komesy.... Chłopkom wdzięcznym
bądź! o chłopkach pamiętaj...

Kaźmirz skłonił głowę.

— Tarczą im bądź i opieką — szeptał król da-
lej. — Sędzią im bądź i sprawiedliwym obrońcą....
oni mnie bronili.

W tem głos coraz słabszy utonął w piersiach
i nastąpił znów długa chwila milczenia.

— Z Krzyżowcami malborskimi — odezwał się
wreszcie cichym szeptem chory — nigdy pokoju!
Przeciwko nim przymierze choć z poganami! O nigdy
zgody z nimi! kruki czarne! wilki żarłoczne, wrogi
wiekuiste!.... Z Pomorza wygnać ich trzeba, albo
oni tę koronę prędzej czy później żelaznym klinem
rozsadzą. O! z nimi nigdy pokoju!

Spoczął nieco, a potem mówił dalej:

— Krwi się dużo jeszcze poleje... będzie strumieniami ciekła, jak pod Płowcami.

Pogoda nadziei rozpromieniła nagle zmarszczkami poorane oblicze króla.

— Płowce — powtórzył — Płowce! Drugie Płowce przyjdą kiedyś, widzę! Stosy chorągwi krzyżackich i stosy we krwi tarzających się trupów!

Każmirzowi od tej przepowiedni serce żywiej zadrgało. Łokietek spojrzał smutnie na syna:

— Nie ty ich poskromisz — rzekł. — Ty gdzie indziej szukać musisz zwycięstwa! Bóg tak postanowił. Ty, ty kleić musisz i spajać, co rozerwały wieki, żelazną wiązać obręczą, miłością spajać, prawem zjednywać...

Ostatnie słowa wyrzekł gorąco, i znużony nagle mówić przestał. Zdała ujrzał zapłakaną królową. Wpatrzył się w jej postać smutną, i wejrzeniem żegnali się na długo. Jadwiga stała tak przez chwilę, wreszcie gwałtowną boleścią przejęta, odeszła do przyległej komnaty. Umierający po chwili milczenia wymówił jeszcze:

— Błogosławię cię mój synu i następco — i głowa w śmiertelnem znużeniu opadła mu na poduszki.

* * *

Nazajutrz o tej samej godzinie już martwe zwłoki Władysława Łokietka leżały na paradnym katafalku, wystawione na widok publiczny. Starszyzna ze wszystkich stron nadciągała, radząc o pogrzebie i o koronacyi młodego królewicza. Dzwony pogrzebowe

dźwięczały po wszystkich kościołach. Lud na Wawel płynął tłumami....



1.

W dziedzińcu krakowskiego zamku, na ławie pod murem siedziało dwóch młodych mężczyzn. Po wytwornym ich stroju, postawach śmiałych i butnych po twarzach napiętnowanych wyrazem dumy, do jakiej łaska pańska pobudza, łatwo się było domyślić, że do dworu królewskiego należeli, a nawet blizkimi byli osoby króla. W zakątku, w którym siedzieli, wiosenne słońce przyjemnie ich ogrzewało. Na zamku dość było cicho, bo król wyjechał był na łowy; w bliskości czeladź się nie kręciła, więc młodzi dworzanie mogli rozmawiać swobodnie. Jeden z nich był to ulubieniec i towarzysz od lat dziecięcych króla Kaźmierz, Kochan Rawa, drugi zwał się Dobiesławem (Dobkiem) Bończą. Obadwaj byli porówno lubieni przez króla. Dobek nawet miał urząd doraźnego sędziego sporów między dworzanami. Poświęcenie obu równe było, miłość dla króla gorąca, lecz charakterzy wielce różne.

— Słuchaj Dobku — gwarzył, śmiejąc się Kochan — ja sobie często myślę, coby stary król nieboszczyk powiedział, gdyby wstał z grobu i zobaczył, jak się tu wszystko przez te lat ośm od śmierci jego zmieniło... Zamku, dworu ani poznać, no i po zie-

miach inaczej! Od wojny się opędzamy, ludzie mogą sobie odetchnąć! Z Krzyżakami, co nam pokoju nie dawali, rozejm za rozejm.

— W tem z tobą zgoda, że się u nas wiele zmieniło — odpowiedział znacznie poważniejszy Dobek. — Za starego króla było wszystko z prosta, młody pan lubi, żeby mu się świeciło i błyszczało, i niezgorzej niż w Budzie wyglądało i w Krakowie.

— Bo też tak być powinno — przerwał mu z zapalem Kochan. — Czegóż brak naszemu panu? Uroda, rozum, bystre oko, serce złote, postawa rycerska! Takiego drugiego nie znalazłbyś na całym świecie.

— Tylko szczęścia mu brak — mruknął chmużąc się Dobek.

— A no! to prawda — odpowiedział Kochan. — Od początku nie wiodło się jemu w domowych sprawach. Ożenili go, gdy miał zaledwie lat ośmnaście z Litwinką, jeno dla tego, że staremu królowi trzeba było związać się z Litwą przeciwko Krzyżakom. Ty-leśmy zyskali, że nam w posagu jeńców polskich przywiozła, co ich poosadzano na pustkach po Tata-rach. Na nieboszczkę panią nic złego powiedzieć nie można. Piękna była, dobra, ale nie stósowna na żonę dla młodego królewicza, któremu się chciało prze-bywać na takich dworach jak węgierski, włoski i fran-cuzki, a ona tęskniła do swoich puszczy i lasów ro-dzinnych nie dbając wcale o nauczanie dworskich obyczajów. Żeby mu była choć syna dała, a tu córka!

— No, to już wszystko minęło — rzekł poważnie Dobek — teraz kiedy król jest już wdowcem od roku

może sobie poszukać żony podług swego gustu; żadna księżniczka nie wzgardzi zapewne tak świetnem zamężciem.

— Tak — szepnął Kochan — ta którą mu Czech swata, jemu jest bardzo do smaku, lecz powiadają, że ona lęka się jego i nie chce!

— Gdyby tak było, niechże sobie innej poszuka, jest ich przecież dosyć.

Nagle Dobek przestał mówić, bo ujrzał króla z łowów niespodzianie i wcześniej powracającego.

Pięknym był Kaźmirz w tej dobie życia swojego. Wspaniałej postawy, w pełni sił i zdrowia, z twarzą rysów szlachetnych, której jakaś chmurka smutku dodawała uroku, wzbudzał na pierwsze spojrzenie miłość i uszanowanie.

Ubrany jak na łowy z trąbką przez ramię przewieszoną, w czapce aksamitnej na głowie, w sukni opiętej i płaszczyku z mieczykiem u pasa, zsiadł z konia, rzucił cugle stajennemu i zbliżył się do dwóch dworaków, dając im znak ręką, aby szli za nim.

II.

Kochan Rawa domyślił się od razu, dla czego król tak prędko z łowów powrócił. Oczekiwano wiadomości od króla Jana z Pragi i od syna jego margrafa Karola.

Król Kaźmirz przejednał się z tym królem niepokojnego ducha, ciągle wojny rozpoczynającym, za

pomocą znacznych sum pieniężnych, na które Luksemburezyk bardzo był chciwy. Przyjaźń króla Jana nie była za drogo okupioną, bo mu służyła za tarczę przeciwko Krzyżakom.

Szło teraz o bliższe jeszcze połączenie się z Luksemburezykami, których rycerskiego ducha król Kaźmirz oceniał.

Piękna Małgorzata, córka Jana, a siostra Karola, owdowiała po księciu bawarskim, powróciła po śmierci męża na dwór ojcowski do Pragi. Kilku znakomitych Czechów, przybyłych do Krakowa, robiło królowi propozycyą, aby się starał o jej rękę.

Krół Kaźmirz chwycił się tej myśli z zapalem, zwłaszcza, że dwudziestosiedmioletnia wdowa słynęła z wdzięków i rozumu. Napisał więc do Pragi z zapytaniem, czy mógłby zawrzeć związek małżeński z owdowiałą córką króla Jana, i oczekiwał teraz co chwila przybycia posła czeskiego z odpowiedzią.

Krół powróciwszy z łowów, widząc, że oczekiwanym gościom jeszcze nie było, udał się do swego komnaty i stał zadumany przy oknie, gdy nagle usłyszał w przyległej sali, w której zwykł był przyjmować gości, szmer jakiś i szeptanie. Wtem z lekka podniosła się u drzwi zasłona i cichym głosem oznajmił dworzanin przybycie gości. Król pospieszył na ich przyjęcie.

W środku sali oczekiwali już króla dwaj duchowni z krzyżami na piersiach, w ubiorach biskupich. Król powitał ich uprzejmie. Pierwszy z nich był słusznego wzrostu, okazałej postawy, roznumnego oblicza,

któremu tylko odbierały wyrazu nieco zmrużone, zmęczone i zaczerwienione oczy. Był to Jarosław Bogorya arcybiskup gnieźnieński, ojciec duchowny i miły królowi kapłan, najbliższy jego serca powiernik i doradca.

Stojący za nim skromny, niepozornej postaci, chłodnego wyrazu twarzy mąż, już nie młody, nieco wiekiem pochylony, był Jan Grot, biskup krakowski.

Nawiedziny te przyjmował Jan Kaźmirz z widoczną radością, jakby ich pożądał i czekał na nie.

Dworzanie, znajdujący się na sali, wyszli natychmiast. Gdy zostali sami, arcybiskup usiadł przy królu, Jan Grot obok niego.

— Czy są wieści jakie? — zapytał Bogorya, ze współczuciem, zwracając się do króla.

— Oczekuję, pragnę ich! ale dotąd nie ma z Pragi — odpowiedział Kaźmirz wzdychając. — Obawę mam wielką; podobno mnie i mój kraj odmalowano księżnie Małgorzacie jak najgorzej, aby ją zrazić i odstraszyć. Na dworze króla Jana są tacy, którzyby radzi temu związkowi memu przeszkodzić.

— Lecz W. Ks. Mość — przerwał arcybiskup — masz za sobą ojca i brata. Ci najbliżsi są, od nich dziś wdowa zależy. Małżeństwo to. da Bóg, przyjdzie do skutku....

— Najżywiej go pragnę — rzekł król — lecz ta niepewność niecierpliwić mnie już zaczyna:

— Modlimy się — wtrącił z cicha następny krakowski.

— Wprawdzie — rzekł król, spuszczaając oczy —

zapewniłem siostrzeńcowi memu Ludwikowi, następstwo po mnie... lecz jeszcze się nie wyrzekł nadziei, że mnie Bóg mężkiem potomstwem obdarzy. Wiem, że w Budzie nie radzi będą memu ożenieniu, i siostra moja Elżbieta żal uczuje do mnie; nie mogę jednak pogodzić się z tą myślą, abym miał być ostatnim z Piastów na tronie polskim.

— Ja mam dobre przeczucia, że nie odmówią wam — rzekł arcybiskup. — Córka króla Jana da się nakłonić, bo nie do wzgardzenia jest królestwo, które Bóg coraz nowym obdarza przyrostem.... Zdobyliście Ruś, odzyskacie kiedyś Pomorze; Mazowsze też wkrótce przyłączy się do nas....

— Sądzę — dodał powoli Jan Grot — że i owe skarby na Rusi zdobyte, o których po świecie rozniosła się już pogłoska, królowi Janowi dadadzą ochoty do swatania córki, bo żądny on grosza.

Wtem rozmowa przerwana została, bo na salą wbiegł spiesźnie Kochan Rawa, ulubieniec królewski i z twarzą uśmiechniętą oznajmił:

— Czesi przybywają! są już tylko o pół mili od Wawelu!

— Zkąd wiesz? zapytał król.

— Posłałem Przedbora na zwiady.

Zacni duchowni, ucieszeni tą wiadomością, pożegnali się prędko, nie chcąc przeszkadzać przy powitaniu dawno upragnionych gości.

Król przybyciem gości był także szczerze ucieszony.

Przymierze z królem Janem osłaniać miało Polskę; na Rusi jeszcze czekały zdobycze, Krzyżacy mieli

być pokonani. Zdawało się Kaźmirzowi, iż wszystko zależy od ożenienia, że z niem nowy okres w życiu jego miał się rozpocząć, pokoju, szczęścia domowego, błogosławieństwa Bożego.

Nazajutrz około południa Czesi, przebrawszy się w mieście w gospodzie z podróżnych ubiorów, w odzież jak na posłańców królewskich przystało, strojno i zbrojno wjechali na krakowski zamek. Tu już dwór okazały, liczny, czekał na przyjęcie; król w posłuchalnej sali z kasztelanem i wojewodą krakowskim w mnogich dostojników otoczeniu, gotował się na powitanie Mikulasa z Lipy.

Był to synowiec wielkiego podkomorzego króla Jana i proboszcza wyszehradzkiego, Jędrzycha. Z postawy i ubioru łatwo w nim poznać było rycerza, co przy swym królu długo wojował po różnych świata stronach, i nabył przytem niezwykłej ogłady.

Król przyjął poselstwo uprzejmie. Stoły przygotowane były na ich ugoszczenie. Posadziwszy król upragnionego gościa obok siebie przy stole, zapytał go o króla, margrafa i przyszłą narzeczoną.

Mikulas z Lipy nadto był zręcznym dworakiem, aby całą prawdę miał wyznać; odpowiadał więc ogólnikami i starał się wszystko w najlepszym przedstawić świetle.

Dopiero gdy po skończonej uczcie, król kazał Kochanowi Rawie odprowadzić posła do przeznaczonych dlań komnat. Mikulas, który znał tego ulubieńca królewskiego z czasów pobytu tegoż na wszechnicy w Pradze, zaczął do niego przemawiać otwarcie:

— Nie smućcie waszego pana — rzekł — ale u nas nie wszystko dobrze się dzieje. Król Jan oślepl już na drugie oko, tak go pięknie doktorzy francuzcy leczyli. Chodzi i myśli tylko o pokucie za grzechy. Syn jego, margrabia Karol ma pelno nieprzyjaciół. A królowna Małgorzata, po śmierci męża i synka tak zmartwiona i schorowana, że prędzej jej o trumnie, niż o ślubnym marzyć kobiercu. Wymogli na niej, że słowo dała, lecz trzeba się spieszyć, żeby go nie cofnęła. Więc w drogę! Ale królowi o tem złem nie wspominajcie, niech je na własne ujrzy oczy.

Kochan zachmurzył się.

— Królowi wzroku nie przywrócimy — mówił dalej Mikulas — ale gdy królowna zobaczy narzeczonego, to może otrze łzy, ozdowieje i rękę mu poda z dobrej woli.

* * *

Nazajutrz orszak z kilkuset jezdnych, z wozami krytemi, z czeladzią mnogą wyjeżdżał z zamku na Wawelu. Wszystkie twarze jaśniały weselem; spodziewano się dobrych, pięknych dni majowych nad rzeką Wełtawą.

Król jechał otoczony panami, odmłodzony, uszczęśliwiony, i na progu kościoła wzięwszy błogosławieństwo, biskupie, w daleką puścił się drogę.

W mieście rajcy, wójt, ławnicy na czele tłumnie zgromadzonego ludu żegnali króla życzeniem, aby zdrów i szczęśliwy powrócił z królową w ojczyste progi.

III.

Świetną już i wspaniałą była owa „złota Praga“, nad Wełtawą za króla Jana Luksemburczyka. Nie wiele miast w Europie równać się z nią mogło. Przyroda dała jej położenie uroczne, malownicze, jakby stworzone dla królewskiego grodu, a pokoleń kilka pracowało nad wzrostem i upiększeniem zamków, które panowały nad miastem, i murów, co je otaczały i zdobiły.

Zdała już te mury, najeżone wspaniałymi wieżami wśród których górowały wielka wieżyca św. Szczepana, a druga przy klasztorze św. Franciszka, dachy i dzwonnice licznych kościołów, ogromne warowne ściany, dzielące stare miasto od nowego pod grodem, dawały wyobrażenie o potędze stolicy, która wkrótce ulubioną być miała siedzibą cesarza Niemiec.

Stary gród pański, z najdawniejszą św. Wita świątynią, z klasztorem, z pałacami, wieżami swemi, „rajskim dworem“, po którym wspomnienie i imię zostało, z dworami burgrabiego i innych urzędników królewskich, dumnie po nad miastem się wznosił. Dokoła szeroko rozlegały się różnych nazw przedmieścia. Żydzi, z których król Jan ciągnął dochody, mieli już nie tylko swą część w starem mieście, ale i zagrody na przedmieściu Podřezca.

Na Wyszehradzie, którego dawny pałac królewski darowany był dziekanowi, wznosił się dźwignięty z nim kościół św. Piotra. Miasto całe odznaczało się czystością ulic i wielkimi kamienicami bogatych mieszczan, a sukiennice pragskie może dostarczyły

wzoru do budowy później urządzonych sukienic krakowskich.

Gdy w polskich miastach rzadką jeszcze wówczas rzeczą były mury, tak tu nieomal cały gród stał już z kamieni i cegły. Po za temi murami, które z wysokimi wieżycami osłaniały całe miasto od napadów nieprzyjaciół, mogły bezpiecznie gromadzić się bogactwa, jakie przemysł i handel sprowadzał.

Rycerskiego ducha królowi Janowi taka stolica przystała. Należał on do najmężniejszych cheiwych blasku i sławy monarchów współczesnych. Ale teraz król Jan oślepił był zupełnie. Głos ogólny przypisywał to karze Bożej, za różne świętokradztwa i grzechy.

Przymierze z królem polskim Kaźmirzem, które się teraz ściślej małżeństwem skojarzyć miało, trwało już od lat sześciu. Połączenie zaś koron polskiej z węgierską, które już było ułożone za staraniem siostry Kaźmirza, Elżbiety, królowy węgierskiej, nie mogło podobać się Janowi, królowi czeskiemu. Tworzyło ono siłę, która go zastraszała.

Dla tego król Jan radził tak gorąco wcześniej owdowiałemu Kaźmirzowi do zawarcia powtórnego małżeństwa w nadziei, że gdy Bóg da mu potomka płci męskiej, układy z Węgrami spełzną przez to na niczem.

* * *

Król Kaźmirz z promienną od szczęścia spodziewaną twarzą wjeżdżał do złotej Pragi, witany okrzykami niezliczonych tłumów ludu.

Wspaniałe wyglądał ów orszak polski, błyszczący od złota, złożony z ludzi olbrzymiego wzrostu, pięknie dobranych twarzy, w wykwintnych zbrojach, z tarczami na lewem ramieniu, na których widniały topory, podkowy, księżyce, gryfy i lwy malowane, jako herby różnych rodów szlacheckich. Kaźmirz jechał na białym koniu, oponą szkarłatną okrytym, na której świeciły orły, perlami wyszywane. Szyszak jego obwieziony koroną, miał też orła, zrywającego się do lotu. Otaczali go mężowie sędziwi, młodzież piękna, lud doborowy i liczny.

Trąby hucznie zwiastowały przybycie Polaków. Przez ulice miasta zaledwie przecisnąć się można było; pod grodem czekał biskup Jan z Drazic, błogosławiąc i wiodąc na gród gościa.

W wielkiej sali dolnej stał zadumany król Jan, syn jego i synowa Bianka, i blada, jak trup, chwiejąca się Małgorzata. Król posępny był; dochodziły go odgłosy, ale tego blasku, do jakiego nawykł był, nie widział. Ta otaczająca ciemność boleśnie rozdzierała mu duszę.

Małgorzata była niby bladym cieniem tylko, lecz jakby anielskiem i nadziemskim zjawiskiem. Piękność jej rysów marmurowo białych, płomień oczu czarnych, podnosiły się spotęgowane bolesnem pomieszaniem w tej stanowczej chwili.

Gdy wśród radosnego zgietku i wirzawy na dziedzińcu, Kaźmirz wprowadzony przez margrabiego Karola wszedł na salę, margrabina Bianka zbliżyła się do Małgorzaty, aby ją podtrzymać mdlejącą pra-

wicą. Kaźmirz, widząc to, drgnął i zawahał się, idąc na powitanie króla Jana. Wzrok Małgorzaty zatrzymał się na pięknej postaci młodego króla, a potem spuściła oczy. Gdy zbliżył się do niej, podała mu zimną i martwą rękę. Gdy przemówił do niej, nie słyszała.

Gdy na dany znak ruszyli wszyscy do zastawionych stołów, i przy pierwszym z nich obok ojca i brata usadzono narzeczonych, margrabia Karol szepnął Kaźmirzowi:

— Małgorzata jest trochę chorą; nie zważajcie na jej trwogę. Obyczaj to kobiecy, drożyć się i udawać smutne, gdy są najszcześliwsze.

Kaźmirz też był pełen najśłodszych nadziei. Niezawiedziono go, królowna zdawała mu się cudownie piękną.

Nazajutrz nikt już nie widział bladój Małgorzaty. Król Jan kazał oznajmić Kaźmirzowi, że księżna zachorowała w nocy i lekarz nakazał jej spoczynek. Margrabia Karol, troskliwy o zabawienie gościa, wziął go z sobą, aby się przypatrywał przygotowaniom do turnieju. Całe miasto przybrało świąteczną powierchowność. W rynku ustawiono stoły dla ludu, muzyki grały na gankach wież i bramach. Na zamku miała być uczta i turnieje, wieczorem śpiewy i tany.

Tego wymagał ówczesny obyczaj dla znakomitego gościa, choć choroba Małgorzaty wszystkim chmuryła oblicza. Król polski, choć udawał spokój, był w duszy srogo zatrwożony i zmartwiony.

Doniesienia Kochana Rawy, który w ciągu dnia

umiał pod ważnymi pozorami zbliżyć się do ludzi z dworu Małgorzaty, były coraz bardziej zatrważające.

Choroba księżnej stawiała się coraz groźniejszą, choć jeszcze o tem mówić nie było wolno. Z twarzy margrabiego i żony jego Bianki, czytał król frasunek starannie tajony.

Następnego dnia Małgorzata straciła przytomność i lekarz zwiastował drżącym głosem królowi Janowi, iż środki jego były wyczerpane, że niebezpieczeństwo jest tak wielkie, iż je chyba zażegnać zdoła sam Bóg Wszechmocny.

Król Jan, który od utraty wzroku stał się nabożniejszym, nakazał natychmiast, aby po wszystkich kościołach odprawiano nabożeństwo, na uproszenie wyzdrowienia chorej księżnej.

Nastąpiła noc — noc cicha, ale bezsenna dla wszystkich na zamku. Król Jan siedział w sypialni, posyłając co chwila pytania o stan córki. Kaźmirzowi przynosił wieści Kochan. Margrabia Karol przychodził go pocieszać; po wszystkich kościołach paliły się światła i odprawiały nabożeństwa.

Nazajutrz był dzień św. Zofii, piękny, jasny, słoneczny, lecz o wschodzie słońca wszystkie dzwony na starej i nowej Pradze, na Wyszehradzie, na Grodzie, uderzyły jękiem żałobnym.

Księżna Małgorzata umarła!

Król Kaźmirz pozostał w Pradze, aby zwłoki narzeczonej odprowadzić do grobu.

Po smutnym obrzędzie i po zapewnieniach nierozdzielnej przyjaźni, przyczem król Jan i syn jego

przyobiecali Kaźmirzowi, że mu się wystarają o inną narzeczoną, król polski na czele swego orszaku wyjechał ze złotej Pragi, rankiem, po cichu odprowadzony przez margrabiego Karola. Głęboki smutek przejmował jego duszę. To nagłe zniknięcie świetnych nadziei na przyszłość błogą i szczęśliwą, czyniło go martwym i zobojętniałym na wszystko, co go otaczało.

Takim na pierwszym noclegu na czeskiej ziemi, wieczorem, znalazł go ulubiony mu powiernik, ksiądz Suchywilk Grzymalita, który mu towarzyszył do Pragi.

Był to jeden z najpoważniejszych i najuczeńszych swojego czasu duchownych; mąż dobrej rady, nieskazitelnego charakteru, a wielkiego przywiązania do króla Kaźmirza, który mu się też bezgranicznem odplacał zaufaniem. Jak wuj jego, arcybiskup Bogorya, tak i on kształcił się we włoskich miastach, w Bononii, w Padwie a w Rzymie dokończył nauk, a oprócz tychże, przywiózł z sobą zdrowe i żywe pojęcie o tem co potrzebnem było ojczyźnie.

Mąż ten wielkiej siły ducha, umiejący mówić prawdę i nie zniżający się do pochlebstwa, już dla tego cenionym był wielce przez króla.

Ksiądz Grzymalita, wszedłszy do izby, w której król siedział pogrążony w smutnej zadumie, a Kochan stał przy drzwiach w milczeniu, popatrzył na Kaźmirza chwilę, nim się doń zbliżył.

Król, jakby się wstydził swego tak jawnie okazywanego smutku, powstał, zmuszając się do uprzejmego uśmiechu. Kochan czuł się tu już niepotrzebnym i zniknął. Zostali sami.

Czas niejaki ksiądz Grzymalita milczał.

— Miłościwy panie! — odezwał się wreszcie, mierząc króla spokojnem wejrzeniem — nie trzeba się tak poddawać boleści, choć ona jest bardzo usprawiedliwioną. Lecz taka kolej rzeczy ludzkich — nie na ziemi nie ma pewnego. Bóg doświadcza i nagradza.

Po tej przemowie, na którą żadnej nie odebrał odpowiedzi, czcigodny kapłan mówił dalej:

— Ludziona, którzy dla siebie żyją, boleć i lubować się w swych boleściach jest wolno — nie nam i nie Wam. Kapłani i królowie synami są bożymi. Monarchowie w dłoni losy państw swych trzymają.... Macie, miłościwy panie, co czynić. Kraj cały odłogiem leży, czeka na Was. Nie godzi się Wam łez wylewać nad własną niedolą.

Kaźmirzowi oczy zabłyśły, począł słuchać uważnie, ksiądz mówił dalej:

— Miłościwy panie, pomyślcie o owczarni Waszej, a ból Wasz własny nie da się Wam uczuć tak przygnębiająco.

— Ojcie mój, macie słuszość — odezwał się Kaźmirz — macie słuszość, lecz są cierpienia nad siły.... Wcielcie się w położenie moje! Ta groźba straszna, że mogę być ostatnim z rodu, właśnie w chwili, gdym sądził, iż przeczucia przełamie, gdym miał nadzieję....

— Ależ nadzieja straconą nie jest — rzekł stanowczo duchowny — przeczucia i przepowiednie są to pokusy szatana. Lecz Wy, królu miłościwy — dodał z namaszczeniem ksiądz Grzymalita — gdyby na-

wet, czego uchowaj Boże, te Wasze przeczucia ziścić się miały, możecie po sobie zostawić więcej niż potomka, więcej niż potomstwo, dzieło Wasze, pamięć spraw wielkich, dłużej trwającą niż rody.

Król spojrział nań z ożywieniem i ciekawością.

— Cóż ja uczynić mogę? — zapytał smutnie.

— Tu u nas w Polsce, ledwo do kupy jako tako orężem ojca Waszego sklejonej — odparł ksiądz Grzymalita z mocą — pytacie miłościwy królu, co czynić? przecież żywota najdłuższego nie starczy na to, co tu do czynienia! Miłościwy królu, widzieliście miasto Pragę, tak wspaniale się wznoszące; alboż i my miast takich mieć nie możemy? U nas wszystko leży odłogiem! Jakież są zamki nasze? Oto niby stosy drzewa na opał przygotowane? Szkół u nas mało, kraj na pół pusty, ludu mało, ściągać go zkądinąd tizeba.

Król słuchał, ożywiając się.

— Naostatek miłościwy panie — dodał kapłan, gdzież u nas są prawa? Inne kraje mają je spisane, u nas każdy sędzia podług jakiegoś starego obyczaju inaczej sądzi... jako sam chce. Jakież to królestwo jedno, gdy w niem zwyczajów tyle, a pisanego prawa albo nie ma, albo je pisarczyki notują sobie dla pamięci, jak im się podoba, a potem te ich pisaniny służą za zbiór ustaw. Alboż i to się godzi, aby nasze mieszczaństwo, gdy się sądzi, a wyrokom nie rade, do Magdeburga pod cudze panowanie słało z apelacją?

Ksiądz Grzymalita, który był równie biegłym prawnikiem, jak teologiem, mówiąc o tym przedmiocie wpadał mimowolnie w zapał. Jednakże sam

zmiarkował, że nie pora teraz była, królowi stawiać te szczegóły przed oczy i zwrócił swą mowę inaczej:

— Ojciec Wasz wojował, Wy miłościwy panie budować chcecie i gospodarzyć. Alboż to nie boleśnie Wam słuchać, gdy obcy o kraju naszym rozpowiadając, zwą go dzikim i barbarzyńskim? Alboż nie wstyd, gdy nam niebezpieczeństwo dróg i gościńców naszych niewygodę zarzucają w oczy. Rzemiosł i u nas mało, wszystko od obcych kupować nam przychodzi.

Kaźmirz zdawał się zapominać o swej boleści.

— Ojczy mój, ty to wiesz najlepiej — rzekł — że całą żądzą mą i staraniem jest, na ten cel pokój utrzymać, okupić go, aby lud ubogi się wzmacniał, bezpiecznie osiedlił, zbogacił! Pragnę tego wszystkiego co i wy, lecz jak i czem tak wiele rzeczy naraz dokonaćby można?

— Jak? — zawołał Grzymalita — rozpoczynając od najpilniejszego.

Król się zadumał.

Widocznem było, że czcigodny kapłan potrafił zręcznie odwrócić myśl jego od dręczących go wspomnień. W Kaźmirzu odezwało się to, co go od młodości najbardziej obchodziło, to jest chęć podźwignięcia kraju i postawienia go na równi z innemi państwami Europy.

— Cóż więc jest najpilniejsze? — zapytał.

Grzymalita spojrzał nań.

— Chleb i zamożność da nam pokój — rzekł — a po nich najpierwszą kraju potrzebą jest sprawiedli-

wość. Wasza miłość nieśmiertelną możesz zostawić po sobie spuściznę Polsce. Prawa jej daj.

Każmirz powstał ożywiony.

— Dobrze! — rzekł — lecz wy mi do tego dzieła pomocą! Pociechą ono dla mnie się stanie.... Trzeba by te nadane prawa — mówił król po chwili milczenia — osłoniły lud biedny, włościan wzięty w opiekę. Na to dałem słowo umierającemu ojcu, że bronić ich będę.

— Chrystus ten lud tak samo, jak nas krwią swoją odkupił — dodał kapłan.

Taką rozmową zajął zacny ksiądz Grzymalita króla do późnej nocy. Nazajutrz w dalszej drodze król rozpoczął ją znowu.

Tak dojechali do Krakowa. Stolica, do której spodziewał się powracać szczęśliwy z piękną młodą małżonką, wznowiła w nim bolesne uczucia. Kazał się zatrzymać w drodze, i dopiero późno w noc przybył na Wawel pusty, do swej córki sierotki, której matkę przywieść obiecał.

Na przyjęcie króla nikt nie przybył. Każmirz zakazał, aby go witano. W progu tylko spotkał wiernego swojego Mikołaja Wierzynka, który nisko mu się do kolan pokłonił, nie mówiąc słowa. Spojrzeli po sobie; wierny sługa z oczu pana wyczytał całe smutne dzieje tej podróży, która się zakończyła żalobnym dźwiękiem dzwonów pogrzebowych.

IV.

Na Prądniku pod Krakowem siedział naówczas

z dawien dawna osiadły tam kmieć, Wiaduch zwany. Był on bardzo zamożny, lecz wcale nie czepiał się szlachty i z dumą powtarzał każdemu, że jest z dziadów i pradziadów kmieciem. Ubierał się tak samo jak jego przodkowie, w czapkę baranią, sukmanę pospolitego kroju, a zamiast oreża nosił kij sękaty w ręku.

Powierzchnowość jego nie była wiele obiecująca. Mały, krępy, gruby, twarz miał pospolitą, ogorzałą i pomarszczoną, tylko w oczach miał wyraz tak rozumny i sprytny, że każdy się mógł na tem poznać. Nikt też nad niego nie znał starych obyczajów, podań, śpiewów i praw, które niepisane, pokolenia dawały pokoleniom.

Gdy zaszła jaka wątpliwość, wszyscy chłopci okoliczni udawali się po radę do Wiaducha, i jak on kazał, czynili.

W chacie było dostatnio, ale Wiaduch strzegł pilnie, aby nad chłopską potrzebę nie tu nie weszło. Dobrał też sobie do pary niewiastę skromną i pracowitą, Maruchnę, i Bóg obdarzył ich kilkorgiem dorodnych dzieci, z których syn najstarszy Marcinek, już teraz dopomagał w pracy około roli.

Wiaduch miał język tak wyprawny, że czy duchownemu, czy kasztelanowi, czy wojewodzie, gotów był powiedzieć tak samo prawdę, jak sobie równemu. Uchodziło mu jakoś to zuchwalstwo, choć kilka razy brano go w dyby i po sądach włóczono.

Wiaduch siedział na kilku łanach ziemi, które jak on twierdził, od wieków do jego rodu należały, ale Toporezyk Neorża, który później mianowany był

wojewodą sandomirskim, w sąsiedztwie ziemie swoje mający, utrzymywał, że łany do niego należą, że wypuszczone były tylko kmieciowi w dzierżawę, który był obowiązany nie tylko płaćć coś tam pieniędzy, ale i czynić posługi pewne. Wszystko to razem śnać nie tak wiele czyniło, bo choć Wiaduch ziemię za swoją uważał, Neorży coś dawał i z nim się nie prawował. Wprawdzie z dumnym, a cheiwym Toporeczykiem i z jego sołtysem i włódarkiem sprawa nie była łatwa, przecież Wiaduch choć cierpiał nie mało, zawsze jakoś umiał się wyslizgnąć z tych opałów.

Gospodarstwo było u niego lepsze, niż u innych, to też i na dobytku nie zbywało. Jak sam był wielce zabiegliwy i pracowity, tak też i dzieciom czasu marnować nie pozwalał. Syn pracował z nim w polu, starsza córka, hoża i rumiana Bogna, krzątała się wraz z matką około gospodarstwa domowego; młodsze skubały pierze, wyłuskiwały groch lub fasolę i zawsze były czemś zajęte.

Pewnego wieczora w jesieni, gdy właśnie Wiaduch powracał z pługiem do chaty, mając przy sobie syna i parobka, a Maruchna, która gotowała wieszerzę, stała w progu, męża za coś strofując, na drodze ukazał się mężczyzna, około lat trzydziestu, który konia kulejącego za sobą prowadził na uździe. Ubrany był tak, jak się ziemianie dostatni odziewać zwykli, i z przyborów widać było, że z łowów powracał.

Zmęczony był, a że koń ledwo stapał na nogę, zatrzymał się we wrotach i przypatrywał się chacie, jakby rozważał, czy też tu znajdzie przytułek chwilowy.

Stary Wiaduch, Marcinek i parobek Waśko jakoż i Maruchna obrócili się wszyscy ciekawie, mierząc oczyma podróżnego. Twarz, choć pańska, podobiała się staremu kmieciowi, który, gdy kto w nim wstręt wzbudzał na pierwsze spojrzenie, nie spieszył nigdy ku niemu.

— Hej! zmęczony jestem i głodny — odezwał się stojący za płotem — nie dalibyście mi spocząć i zjeść cokolwiek? Zapłacę dobrze....

Wiaduch zbliżył się i pozdrawiając go, jak się należało, swoim zwyczajem bez zbytniej uniżoności:

— Pożywimy i bez zapłaty — rzekł. — Człek przecie człeka głodnego od progu odpychać nie powinien. Ale, miłościwy mój, jak to z sukni widać i z twarzy, ani w chacie dymnej odpoczywać, ani z glinianej misy jeść nie zwykliście blaszaną łyżką.

— Ha! — rozśmiał się dobrodusznie za płotem stojący. — Głód nie patrzy misy, a zmęczenie nie wybiera strzechy i posłania.

— Wiaduch zwrócił się do żony:

— No żono — rzekł — czy miałabyś co do zjedzenia dla takiego gościa?

— Oho! ja się nie powstydzę, choćby sam Neorża na wieczerzę się wprosił — odpowiedziała Maruchna.

Usłyszawszy Neorży nazwisko, podróżny spytał:

— Neorża, a skądże wy go znacie?

— Jak go nie mam znać? — odpowiedział Wiaduch — przecież on uparcie chce się zwać moim panem, choć ja w to nie wierzę, bom ja kmieć wolny ale trudno mu wojnę wydawać.

To mówiąc, stary wrota na podwórko otworzył i podróżny wszedł, kulejącego mocno konia prowadząc za sobą. Marcinek odebrał uzdę z rąk pana, i zaczął zaraz opatrywać nogę pięknego rumaka, jakiego jeszcze z bliska w życiu swoim nie widział.

Po krótkiem badaniu spostrzegł ostry cieriń wbity tuż obok kopyta, i bez pomocy wszelkiego narzędzia wydobył go palcami.

— Nic mu nie będzie — zawołał wesoło — tylko tłuściością zalać trzeba.

— Bóg zapłać! koni mi bardzo miły — odpowiedział podróżny, przypatrując się z upodobaniem zręcznemu chłopakowi.

I potem poszli wszyscy do chaty, tylko Marcinek zaprowadził konia do stajni.

Chata Wiaducha, tak jak on sam, nie odznaczała się niczem od pospolitych chat knieciów, chyba tem, że w niej sprzęty były bardzo czyste, nie zszarzone i całe. Ławy stały dokoła ściany, stół w jednym narożniku izby, ognisko w drugim. Podłogę zastępowało klepisko dobrze ubite i twarde. U drzwi stało wiadro ze świeżą wodą i czerpakiem, a ponad drzwiami kropielniczka z święconą wodą, na policach garncarskie naczynia, dzbanki, kubki, i łyżki drewniane. Na stole leżał bochenek chleba nakrojony, uóz i przy nim miska ze solą. Wieczera gotowała się na ognisku. Maruchna miała jaja, słoninę, mleko, miód w plastrze, chleb i masło, czegoż głodnemu podróżnemu więcej było potrzeba.

Wszedłszy do izby, podróżny oglądał się ciekawie

i rozpatrywał, a Wiaduch nie spuszczał go z oka, i radby był wiedzieć, kogo miał w gościnie.

Gdy więc zasiedli oba na ławie za stołem, i gość zaczął zajadać smacznie chleb ze solą, gospodarz zapytał go grzecznie:

— A powiedzcie też, jeśli łaska, zdaleka Pan Bóg prowadzi?

Gość wskazał na drogę od Krakowa.

— Pewnie ziemianin tutejszy? — Wiaduch badał dalej.

— Nie — wzruszając przecząco głową, odparł gość, żwawo chleb zajadając.

— Juścić nie mieszczanin — mruczał Wiaduch — to widać.

— No — rozśmiał się badany — nie jestem ci prawda mieszczaninem, ale od miasta pochodzę.

Powiedzieć widać nie chciał, kto był, więc Wiaduch dał mu pokój.

— A wam jak się tu dzieje? — zapytał z kolei gość. — Dużo ponosicie ciężarów? Płacicie co Neorży? To człek żądny grosza!

— Znacie go, miłośnicy — rozśmiał się Wiaduch — ale, któryż z nich inny? Każdyby rad brać, na co sam nie zapracował! Bo im też trzeba dużo, na te piękne szaty, sprzęty, klejnoty, dobre jadła i napitek zagraniczny.

Podróżny słuchał z ciekawością i usta mu się składały do uśmiechu.

— A jakże wy się nazywacie? — zapytał gość.

— Mnie na chrzcie świętym dano imię Aleksy,

a po ojcach nazywam się Wiaduch — odpowiedział gospodarz.

— A jakże się wam powodzi w gospodarstwie? — zapytał dalej nieznajomy.

— A no, idzie i kuleje, różnie bywa — począł kmiąć mówić poufale. — Pracować trzeba, bo człowiek i na siebie i na dzieci, na grad, na burzę, na złodzieja zarabiać zniewolony, na pana Neorża i na księdza... Wszyscy żyją z nas rólników.

— Tak ci to, mój stary — odparł nieznajomy — ale wy lejecie pot, a drudzy was broniąc, krew wylewają.

Wiaduch się rozśmiał.

— No, krew i nasza nieraz się leje... — ale kiedy Pan Bóg taki porządek na świecie ustanowił, toć my go nie zmienimy. Tylko to jest nie dobrze u nas — mówił stary po chwili milczenia — że u nas sprawiedliwości brak wielki. Gdy mi taki Neorża doku- czy, jakże się mam bronić?

— Przecież macie sędziów — zarzucił gość.

— Sędziowie albo są ziemianie, albo ich się boją. Sprawiedliwości u nich nie ma. Osądzą źle, jakże tu sędziego naćganić? Woźny przyjdzie z czeladzią swą, bierze woły, suknie, siekiery, motyki... kiedy się w sądzie opłacić, czem nie mamy.

— Gdy tak Wiaduch rozprawiał, podróżny coraz się pilniej przysłuchiwał.

— A jakaż byłaby na to rada? — rzekł — aby sprawiedliwość wymierzona była każdemu?

— Miłościwy panie, mnie się zdaje, że na to rady

nie ma — odpowiedział Wiaduch. — Chodzę ja do kościoła i słucham, co ksiądz rozpowiada; pono na świecie tak zawsze bywało i do końca świata tak będzie....

Zamyślił się gość, ale i w tem Maruchna z córką Bogną zaczęły się uwijać koło stołu, przynosząc jadło. A choć ono nie wytworne było, jeno chłopskie, głodny gość zabrał się do niego ochoczo.

Wiaduch, też miszkę postawiwszy na kolana, zajął ze spuszczoną głową. Jedli tak niejakiś czas w milczeniu, lecz młody pan wkrótce przerwana rozmowę rozpoczął na nowo.

Mówcież mi, proszę — rzekł — o waszym stanie i dolegliwościach jego, dobrze to wiedzieć, aby zaradzić temu.

Wiaduch kiwnął głową i wzruszył ramionami.

— Wiedzieć jak wiedzieć — rzekł — ale zaradzić to temu ani król nie potrafi....

— Ani król? — powtórzył gość zdziwiony, przestając jeść i patrząc bystro na starego kmiecia — przecież on ma siłę i wolę!

— A no, jeno rycerstwa swego winien oszczędzać, ziemian nie drażnić, bo on panuje, a oni go trzymają. Za ziemianami i rycerstwem kmiecia nie widać. On stoi na końcu, ostatni.

— Przecież król wszystkich jest panem, tak rycerstwa, jak kmieci.

— Tak się to zwie — rzekł Wiaduch — ale w rzeczy samej, kmieć wszystkim służy, a nim się nie opiekuje nikt, oprócz Pana Boga.

— Toć to najlepsza opieka — rozśmiał się nieznajomy. — Więc jakoś nie bardzo królowi ufacie? — spytał po chwili milczenia.

Pytanie to zdumiało, a może i przestraszyło starego kmiecia, zamyślił się i zawahał z odpowiedzią.

— Król! król! — począł. Ma on o czem innem myśleć, nie o nas.

— Powinien i o was myśleć — rzekł podróżny.

Wiaduch ciekawie zaczął się przypatrywać znów gościowi; rad byłby odgadnąć z kim ma do czynienia.

— Nie lubicie króla! wtrącił gość.

Na to pytanie spoważniała twarz Wiaducha.

— Złego on nam nie zrobił nic — rzekł — myślę, że dobrzeby chciał, ale nie [może. Niebożczyka Łokietka tośmy znali, tego młodego trudno zobaczyć. Tamten dobry był... i z prostym chłopem nieraz się rozmawiał...

Lekki rumieniec wystąpił na twarz podróżnemu.

— Tamtego myśmy ratowali nieraz, gdy opuszczony od rycerstwa błąkał się po kraju.... Kmiecie za niego broń brali i krew przelewali....

— I syn jego będzie wam to pamiętał — odparł, wspierając się na ręku, zadumany gość.

— W tym starym królu znaliśmy jakby ojca i brata — prawil dalej Wiaduch. — Żył on, jako my. Dla rycerstwa był surowy, dla nas dobry... Pan Bóg mu to wynagrodził, boć się dobił korony.

Podróżny wstał z ławy dziwnie wzruszony. Obejrzał się, zmrok wieczorny zapadał.

— Bóg zapłać wam gospodarzu i gosposiu za miły wypoczynek i pożywienie.

To mówiąc sięgnął do kalety i zabrzączały w niej grosze. Wiaduch się zmarszczył i cofnął.

— Za gościnę nikt nie bierze zapłaty — rzekł.

— Dla czego? — zapytał podróżny.

— Po starym obyczaju nie godzi się to — rzekł Wiaduch. — Chata nie gospoda. Wstydu mi nie czyńcie! Kmieć jestem, a choć Neorża kłamie, żem jego, byłem i będę wolny. Począł się przytem uśmiechać, chcąc to niby w żart obrócić.

Gość stał wielce zakłopotany, a potem zdjął z palca pierścień i skinął na Bognę, która zamiast zbliżyć się weszła za piec przestraszona.

— Chciałem choć dziecku waszemu zostawić pamiątkę — rzekł, kładąc na stół pierścień świecący z dużem czerwonym okiem — niechby go miała na zrękowiny, gdy za mąż pójdzie. — To powiedziawszy pokłonił się i wyszedł z izby, a Wiaduch za nim.

Marcinek pobiegł po konia, który choć jeszcze trochę kulawiał, ale napojony i napasiony wiązką siana, był daleko rażniejszy. Podróżny podziękował raz jeszcze za gościnne przyjęcie, wsiadł na wierzchowca i wkrótce zniknął wśród cieniów wieczora.

Gdy Wiaduch powrócił do izby, zastał żonę i córkę zapatrzone w prześliczny pierścień. Był on z czystego złota i miał duży, czerwony, przejrzysty niby szkło kamień.

Wiaduch stał mocno zadumany. Napróżno starał się odgadnąć, kto był ten gość, co o sobie nic

powiedzieć nie chciał, a przed którym on się tak szczerze rozgadał. Tymczasem na dworze już się na dobre ściemniało. Marcin z parobkiem jeszcze zadawał bydłu na noc paszę, Bogna wodę ze studni nosiła, gdy na drodze zaczęło tętnić, i odezwały się krzyki, głosy i hukania... Marcinek rozróżnić mógł tylko w ciemności, że to zbrojni ludzie byli, którzy z sobą rozmawiali hałaśliwie, głośno i niespokojnie, jak gdyby kogoś szukając.

— Hola! Chodźcie tu kto do nas! — krzyknął któryś z tych zbrojnych.

Wiaduch usłyszawszy to wołanie w izbie, wyszedł z chałupy i stanął przy płocie.

— Czy tędy nie jechał pan jaki? — spytano.

— Był tu jeden.

— Na jakim koniu?

Marcinek opisał im maść i piękność konia, i wnet podniosły się krzyki:

— To on! to on! spieszmy za nim!

— Któż taki? — zapytał ciekawie Wiaduch.

— Ej! szczęśliwy ty chłopie — odczuwał się jeden z rycerzy. — Nie wiesz, kogo przyjmowałeś w chacie. Był to król!

Neorża ów, na którego Wiaduch skarżył się królowi, był to pan możny, który w Sandomirskiej ziemi i w Krakowskim wielkie miał posiadłości. Należał do Toporeczyków, rodu z najstarszych i najmożniejszych w Krakowskim, który się już po innych ziemiach rozrodził, a wszędzie możnym był. Dwór też miał w Krakowie, w którym często przesiadywał.

Królowi w początkach starał się Neorża przypodobać, pragnąc wielkich łask i dostojęństw, ale Kaźmirz nie lubił pochlebców i zimno go zawsze przyjmował. Neorża to zmiarkowawszy, powziął urazę do króla i stał się wkrótce tajemnym, lecz zaciętym jego nieprzyjacielem.

Nie było to wszyskkiej prawie ówczesnej szlachcie po myśli, że król chciał zaprowadzać nowy porządek w kraju, wglądał we wszystko, z chłopami rozmawiał o tem, co im ciążyło, żydów do siebie przypuszczał, żupom solnym i dochodom z nich marnować się nie dał.

Nie tylko Neorża, ale i inni szemrali na to, że nie takiego króla miełby chcieli.

Już od dość dawna po wszystkich ziemiach chodziły wieści, które z przekazem i niechęcią sobie powtarzano, że król chciał ze starych praw ukuć jakieś jedno nowe prawo dla całej Polski, że ksiądz Grzymalita nad tem pracował, i że do jednego z miast zwołać miano Małopolan, potem Wielkopolan, i potem prawo to królewskie spisane dać wszystkim, aby jego a nie innego słuchano. Lat kilka przyspasabiano się do tego. Ludzie, jak zwykle nowościom, tej sprawie nie byli radzi. Szczególniej sędziowie krzywili się na to, upatrując w pisanem prawie poniżenie dla siebie. Żemianie lękali się, aby to nowe prawo nie zmniejszyło ich władzy nad kmieciem. Pewna część ludności, na niemieckich prawach osiadła, także nie spokojnie na tę nowość czekała, obawiając się, aby to polskie prawo ich odrębności nie naruszyło.

To największe dzieło panowania swego król Kaźmirz chciał mieć dokonanem w Wiślicy, aby przez to uczcić pamięć ojca swego, którego imię z gródkiem tym było związane. Władysław Łokietek dwa razy Wiślicę zdobywał, tu się ukrywał, tu się modlił, ztąd jeszcze ledwie się w siły wzbijając, na dalsze wyruszał odzyskiwanie posiadłości. Droga była Łokietkowi ta miejscina, bo mu gniazdem i przytułkiem była w ciężkich dniach życia. Stary ten gródek nad Nidą, w widłach rzeki, jak wysepka na pagórku rozrzucony, łąkami otoczony szeroko, teraz dzięki Kaźmirzowi, świecił silnemi murami, których mu pozazdrościć mogły znaczniejsze miasta.

Gdy więc stanowcza chwila nadeszła i ogłoszono wiec czyli zjazd do Wiślicy, ruszali nań wszyscy z większą ciekawością i niepokojem, niż pociechą. Niektórzy odzywali się z tem, że bronić będą dawnych praw i swobód, inni nie wiedzieli sami, jak sobie postąpią. Lecz kto tylko mógł, a chciał swą powagę utrzymać, do Wiślicy się wybierał.

Kmiecie też gwarzyli o prawie nowem, nie wiele się po niem spodziewając dla siebie, bo mieli przekonanie, że ziemianie i rycerstwo nawet nad króla są silniejsi, choć wierzyli w to, że Kaźmirz tam i o nich nie zapomni.

Wiaduch po owej bytności królewskiej, o którą go wielce badano, gdy się wieść o tem rozeszła, nie rad rozgadywać się o tem, przycupnął i powrócił do robót w polu, do gospodarstwa, unikając spotkania z ludźmi, którzy nań dziwnie patrzeli.

Neorża, który go za te odwiedziny królewskie strasznie z początku prześladował, potem żądał już tylko pokory od niego i dawał mu spokój.

Król jakoś w owych czasach do czynienia miał wiele, więc o Wiaduchu zapomniał. Jeden rok zajęła owa sławna wyprawa ruska, która się opłaciła zajęciem Przemyśla, Halicza, Łucka, Włodzimirza, Sanoka, Lubaczowa, Trembowli, a z niemi mnogich skarbów, wozami całemi do Krakowa zwożonych. Żenił się potem król Kaźmirz z Niemką Adelajdą, którą mu król czeski Jan i syn jego naraili, a którą zaledwie przywiozłszy na zamek, dla szpetności i obyczajów obcych i nie miłych, wkrótce od siebie oddalił.

Wstręt ten, który go dzielił od drugiej żony, może przez królową Elżbietę węgierską wzbudzony i podtrzymywany, bo jej szło o koronę polską dla syna Ludwika, pozbawiał znów Kaźmirza nadziei potomka płci męskiej. Potem wydawał córkę ledwo dorosłą za Bolesława, księcia szczecińskiego, w Poznaniu, wyposażywszy ją po monarszemu, potem napad tatarski powołał go za granicę, i z Czechami po owej wielkiej zgodzie przyszło znów się ścierać, gdzie Bóg dał zwycięstwo.

Mało więc Kaźmirz w Krakowie siedział, na Wawelu rzadko kiedy bawił, to też Wiaduch stracił nadzieję, żeby go jeszcze kiedy zobaczył.

Upłynęło lat kilka. Bogna za mąż była wydana; Marcin się ożenił, Wiaduch chodził za pługiem, jak dawniej brał się do cepów i siłom nie dawał zasty-

gnąć w sobie. Stał się tylko na starość trochę więcej milczącym, i modlił się częściej niż za młodu.

Wczesną bardzo wiosną, bo jeszcze w post jakoś r. 1347, Wiaduch właśnie trzebił przcz rzeszoto groch do siewu, gdy usłyszał z podwórza wołanie:

Hej gospodarzu!

Na to wołanie Wiaduch wybiegł z chaty i do wrót pospieszył. Tam stał król w małym poczcie dworzan, za nim wieziono sokoły, szło psów kilka, otaczali go łowce, a przy boku stał nicodstępny Kochan Rawa. Król zmieniony był wielce. Nie stracił on wprawdzie ani dawnej piękności rysów, ani ich świeżości, ale widać było na jego obliczu smutek, tęsknotę i znużenie życiem.

Wiaduch pokłonił mu się do nóg z radością, król zsiadł z konia i poszedł z nim do chaty, zostawiając dworzan za wrotami.

Maruchna z wielką pokorą i radością witała tak wielkiego gościa.

Po chwilce król obejrzawszy się dokoła, rzekł, opierając się na stole:

— A wiesz ty stary, co cię czeka?

Wiaduch głową pokiwał.

— Otom ja przybył posługi żądać od ciebie.

Kmicie się pokłonił.

— Rozkazujcie miłościwy panie — rzekł.

Pomilczawszy chwilę, król w te odczywał się słowa:

— Słyszeliście może, że do Wiślicy zwołałem ziemian na czwartą niedzielę postu. Będą im tam nowe prawa czytali, a prawo to nie dla jednych zie-

mian, ale dla wszystkiego ludu, też i dla kmieci.

Wiaduch się uśmiechnął niedowierzająco.

— Miłościwy panie — rzekł — ja na to codzień patrzę, gdy koniom obrok zasypuję, a z jednego żłobu wszystkie jeść mają. Gdyby człowiek nie pilnował, starsze i mocniejsze wszystkoby zjadły. Tak też i z tym żłobem pono będzie, do którego nam się docisnąć nie dają.

— To wasza rzecz — rzekł król uśmiechając się — ja w żłób sypię... i póki żyw, też przy tym żłobie stać będę. Zjadą się ziemianie do Wiślicy, duchowni, rycerstwo i prości panowie... trzeba, aby i kmiecie tam byli.

Wiaduch spojrzał zdziwiony na króla, nie nie odpowiadając.

— A dopuszczają tam inni? — szepnął po krótkim namyśle.

— Powiecie tym, coby wam chcieli bronić przystępu, że moje macie rozkazanie. Ja chcę, abyście tam byli.

Kmieć potrzeby nie widział i głową pokręcił.

— Jedź ty — mówił dalej król — weź z sobą kilku zamożnych a poczesnych. Bądźcie przy mnie, aby nie mówiono, żem o was zapomniał, lub wami pogardzał. Przecież i tak mnie już królem chłopków zwą, niech widzą, że ja chcę nim być, jak jestem królem ziemianina, rycerstwa i wszelkiego ludu który w królestwie tem żyje. Rozkazuje wam zarazem, abyście mi kilku braci waszych do Wiślicy przywieźli. A miałyby wam nie stać na to, bo paszy dla koni

jeszcze nie będzie, lub ją pod Wiślicą szlacheckie szkapy zjedzą i stratuja, oto macie na drogę.

Król mówiąc to, sięgnął do kalety, w której miał przygotowany mieszek i położył go na stole.

— Do Wiślicy pojedziemy — odezwał się z dumą kmicć — ale nie o Waszych pieniądzech, miłościwy królu. Stanie na to nas ubogich. My tam żyjemy z prosta, złota na nas nie widać, ale grosza trochę w garnuszkę pod sypanką w komorze znajdzie się na czarną godzinę.

— Weźcież to przecie, mnie nie zubożycie — rozśmiał się król weźcie dla innych, abyście ich mogli wybrać nie wedle zamożności, ale wedle statku i rozumu. A teraz zostańcie z Bogiem.

Król wstał i zwrócił się ku drzwiom, a Wiaduch odprowadzał go, nisko mu się do nóg kłaniając.

Już król z swym dworem daleko był od podwórka a Wiaduch stał jeszcze przy wrotach zadumany, jakby w ziemię wrosły. Maruchna przyszła do niego i uderzywszy go w ramię, zapytała:

— Co tobie stary?

Nic nie odpowiadając wszedł do chaty, gdzie jeszcze leżał worek z pieniędzmi na stole; siadł na ławie, podparłszy się łokciem na stole, ukrył głowę w swych spracowanych dłoniach i znów się zamyślił głęboko.

Żona stała przed nim z rękoma założonemi potrząsając głową. Wiaduch na pytania jej długo nie odpowiadał. Nareszcie wstał, przeżegnał się, podrapał się w głowę i westchnął.

— Niech się dzieje wola Boska i pańska — rzekł — kiedy do Wiślicy, to do Wiślicy.

— Przecież to nie krzywda ale cześć — odezwała się Maruchna.

— Milczałabyś stara, bo nic nie znasz — zawołał Wiaduch. — Za taką cześć człek potem skórą płaci.

Powzdychał trochę, przeszedł się po izbie, pasa mocniej przyciągnął, na chodaki popatrzył, ku słońcu wejrzał i rzekł do żony:

— Na wieczerzę albo powrócę, albo nie; dbajcie matko, aby łyżka ciepłej strawy była. Trzeba mi w drogę.

Stary poszedł do stajni, wybrał najżwawszą szkapę, wsiadł na nią i pojechał w sąsiedztwo, do kilku znajomych mu zamożnych kmieci.

Przemysłny Wiaduch dobierał sobie towarzyszków i wedle rozumu i wedle dostatku, ale też i takich, coby mu ładajaką postawą wstydu nie zrobili.

To też ta gromadka chłopów choć bez orężów i szyszaków, wcale pokaźną była. Jeden w drugiego byli urodziwi, przystojni, silni i barczyści. Część ich miała powagę, starość i siwiznę srebrną, brody do pasa; inni kwitnęli młodością. Wszyscy oni czuli to, że nie dla siebie jechali, ale stan kmiecy cały miał się w nich oko w oko obok innych postawić.

Po gościńcach, któremi nad Nidą dążyli nie było pusto. Ciągnęli zewsząd ziemianie dworno, szły czeladzie biskupów, poczty wojewodów, jechało znaczniejsze rycerstwo.

W owych wiekach prawie można było rozpoznać

każdego człowieka stan z odzierzy i uzbrojenia. Duchowieństwo miało ściśle przepisy, jak się w kościele, w domu i w podróży odziewać miało. Mieszczanom nie było wolno ani w jedwabie, ani w klejnoty się stroić; rycerstwo i panów odznaczało uzbrojenie, komesowie i barony (tak zwani z łacińska) mieli dwory z sobą, słowem, kto spojżał na gromadnie przejeżdżających kmieciów, łącznie poznawał, co za jedni byli i że do ziemian nie należeli.

Spotykając ich głośno objawiali swe zdziwienie co kmieciów wiodło do Wiślicy. Czasy te, gdy do wieców wszyscy pospołu należeli, oddawna były zapomniane. W miarę jak panowie i rycerstwo rosło, upadali na znaczeniu kmiecie, i już im innych praw nad dźwiganie pospolitych ciężarów nie przyznawano. Pielgrzymka ta kmieciów w dość licznej gromadzie, nie dziw, że jadących ziemian wprawiała w zdumienie.

Zaczepiano ich, badano, lecz Wiaduch ostrożny, zawczasu swoim zapowiadał, aby się w żadne rozchowy nie wdawali, i milcząc, pomijali tych, co ich zaczepiać chcieli.

Dojechali tak wreszcie na równinę błotnistą nad Nidą i mury zamkowe, nowy kościół, który król Kazimierz wystawił, okolne ściany grodu, jego baszty, i bramy, ukazały się z daleka na pagórku w widłach rzeki. W mieście i już z daleka około miasta roili się tłumy rozmaitych stanów ludności. Wozy z żywnością biskupów i panów ciągnęły otoczone czeladzią, spychano się, wymijano, powstawały kłótnie i ludzie rwali się do orężów. Musieli więc kmiecie obmyślić

sobie gdzie na zboczu obozowisko i na niem się osobno rozłożyć, postanowiwszy iść nazajutrz po cichu na zamek, bo słyszeli, że tego dnia już — a była to właśnie czwarta niedziela postu — po nabożeństwie wielkiem w kościele, które sam arcybiskup miał odprawiać, na dziedzińcu zamkowym, gdzie dla króla tron i przy nim też tron dla arcybiskupa był przyśposobiony, miano nowe ogłaszać prawo.

Wiaduch tylko sam jeden poszedł na posłuchy do miasta, chcąc wiedzieć, co też ludzie o tym zjeździe mówili. I nasłuchiwał się niemało. Nie licząc tego co prosty lud bredził, ziemianie, a nawet duchowni nie kryli się z tem, że tej nowości królewskiej wcale nie byli radzi.

— Wie król co robi! — wołali jedni — pewno sobie władzy nie uszczupli, raczej drugim odejmie, a sobie przysporzy. Rycerstwa swobody powoli znikną, będzie tak, jak na Rusi, gdzie ziemianie głosu nie mają, jeno kmieciowie. Spodobało mu się to, gdy Ruś zawojował.

Nie było i bez tego, żeby i na księdza Grzymaliłę nie sarkano, o którym wiadano, że był zaufanym i przyjacielem króla.

Małopolanie i Wielkopolanie obawiali się utracić ziemskie posiadłości. Naostatek znana króla skłonność dla chłopków, którymi się rad opiekował, budziła obawę, aby to nowe prawo ich nie wyniosło, osłabiając znaczenie ziemian,

Burzyły się więc umysły, lecz władza króla, choć nieokreślona żadnem prawem, była przecież uznawaną

i otaczaną wielkiem poszanowaniem. Król, jako najwyższy sędzia, mógł każdemu zuchwałemu kazać ściąć głowę. Przeciw niemu nikt nie ważył się wystąpić jawnie. Szemrano tylko.

Nazajutrz, jak zapowiedzianem było, zadzwoniono na nabożeństwo, a że znaczniejsza część ludu w kościele się pomieścić nie mogła, stanęło wielu w podwórzu, otaczając go do koła.

Wszyscy potem z arcybiskupem i królem na czele ruszyli ku zamkowi.

Dzień nie bardzo sprzyjał uroczystości, wiatr smaگاł chłodny, niebo było chmurami pokryte. Lecz ani Kaźmirz, który szedł z twarzą zwycięzcy, ani inni nie zważali na to.

Cisnęła się starszyczna strojna dokoła pana, którego dwór też występował w dniu tym z przepychem prawdziwie królewskim, w całym blasku strojów i sukien, wykładanych futrami kosztownymi. Sam Kaźmirz ubrany był czarno, z łańcuchem na szyi i wspinałym pasem rycerskim, a płaszcz na ramionach miał szkarłatny sobolami podbity.

Chociaż tłum się uciszył, gdy król przemawiać miał, nikogo nie doszły słowa jego, bo gwar dolatywał z dala i wiatr szumiał. Widziano tylko, gdy ksiądz Grzymalita karty pergaminowe z pieczęcią na sznurze podnosił, gdy arcybiskup błogosławił, gdy król przemawiał znowu, a oblicze pokraśniało i oczymu tak błyszczały, jak gdyby największą osiągał szczęśliwość. Twarz króla zdawała się opowiadać ludowi, iż się wielkie i wiekopomne dokonało dzieło.

Gdy się to wszystko spełniało, Wiaduch ze swoimi ledwo się dostawszy na zamek, innego dla siebie i dla swoich miejsca nie znalazł, jak przy murze, wysoko na zrębach. A choć i tam ciasnota była wielka i niewygodna, miał tę pociechę, iż król do koła rzucając rozwesolonemi oczyma, spostrzegł go i uśmiechnął się do niego.

Poszły zaraz inne oczy za królewskimi i dostrzeżono kmieciów, o których Neorża już wiedział od swoich szpiegów, że tu przybyć mieli, o co gniewał się srodze.

Tak się wszystko dnia tego odbyło łatwo dla tego, że król naradził się poprzednio o wszystkim z dostojnikami i rycerstwem i rzecz cała naprzód była ułożona. Zastawiono potem stoły i ludzie powoli rozchodzić się zaczęli. Wiaduch nie bardzo wiedział, co począć z sobą, gdy ze dworu króla jeden z dworzan królewskich Gosław, herbu Kroje, który czasem bywał na Prądniku i znał starego kmiecia, zbliżył się do niego, mówiąc, aby szedł za nim z swymi towarzyszami, bo król rozkazał, aby ich ugoszczono.

Kmiecie się zawahali, obawiali się obudzić zazdrości, lecz usłuchać musieli.

Prowadził ich tedy Gosław dworzanin do zamku na uboczu. Lecz z daleka już spostrzegli, że na miejscach dla nich przeznaczonych, samowolnie zasiedli ziemianie.

Kmiecie chcieli odejść, lecz Gosław im nie pozwolił. Obok stołu zajętego bezprawnie kazał na

dwóch beczkach stare drzwi położyć, a podawać misy i dzbany.

Dopieroż panoszkowie owi ujrzawszy obok siebie kmieciów, krzyczeć i wywoływać poczęli na niepomierne zuchwalstwo. Nie uważano na to, ale gdy przy tym stole poczęta sprawa kmieciów poszła zaraz po innych — zaniósł się na groźną burzę.

Wiaduch skinął na swoich, że nie pora ją wywoływać, więc zakosztowawszy ledwo chleba królewskiego, i usta ledwo w kubkach umoczywszy, wyszli boczną furtką, którą wskazał im Gosław.

Obowiązek stawienia się był spełniony; nie mieli już kmiecie co robić w Wiślicy, więc spieszenie wybierali się domu nazajutrz o świcie.

Ale nad ranem przybył komornik od króla i kazał im iść na zamek. Gdy się tam z wielkim stawili strachem, król z kilku panami wyszedł do nich do przedsieni, i z uśmiechem kiwnął głową Wiaduchowi.

— Chciałem — rzekł głośno — abyście i wy tu byli, gdzie w imię Boże nowe, albo raczej stare prawa ojców naszych spisane były i ogłoszone wszystkim, a zatem i wam mają one służyć ku obronie i bezpieczeństwu. Idźcież teraz w pokoju do domu, do pracy, i powiedźcie ludowi wszystkiemu, iż go odtąd nie sędzia będzie sądził... ale jedno prawo dla wszystkich.

Pokłonili się kmiecie, a król spoglądając na nich bardzo dobrotliwie, mówił do otoczenia:

— Ci są, którzy karmią nas; należy im się opieka i bezpieczeństwo. Idźcie w pokój.

Przytomny temu kapelan dworski pobłogosławił ich po łacinie, i odeszli wroszcie, uradowani, że się już skończyło to wszystko.

Kto żyw konia wyprowadzał, wóz zaprzęgał, aby jak najprędzej z Wiślicy powracać do domu; nie czekając jedni za drugimi, każdy udawał się w swoją drogę. Wiaduch wyjechał na ostatku. Wypoczął dobrze, i po południu dopiero wybrał się w drogę.

Na gościńcu teraz nie było już ludno, bo wielu jeszcze pozostało w Wiślicy. Wiaduch jechał na wózku zamyślony, w duchu rozważał sobie wszystko, co go spotkało, co widział i słyszał.

Pomimo nadzieje w obietnice wielkie, on stary i doświadczony zachował swe przekonania, iż z prawem tak będzie jak i bez prawa, że się nie zmieni. Nie wątpił, iż król dobry chciał jak najlepiej, lecz w moc jego nie wierzył.

— Ziemianie uczynią co zechcą i będzie co było — mówił w duchu.

— Dnia tego nie wiele ujechał, a znalazłszy gospodę i szopę, zawczasu w niej zanocował.

Tymczasem na Prądniku Maruchna i syn jego Marein, około gospodarstwa zajęci, dni i godziny liczyli wyglądając Wiaducha. Żona obrachowywała raz i drugi, wiedziała, że miał być w niedzielę w Wiślicy, że tam nad dzień lub dwa nie zabawi, i że do domu potem pospieszy.

Ale Wiaduch nie przybywał. Wszystkie rachuby zawiodły. Z sąsiedztwa powrócili już wszyscy kmiecie i zapewniali, że Wiaduch winien lađa chwilę nadjechać.

Jednej nocy Maruchna nie mogąc zasnąć, posłyszala skrzypiący wóz, jakoby się n wrót zatrzymał.... Okrywszy się płachtą, wyszła na podwórek... W mroku widać było w istocie przed wrotami konie i wóz. Na zawołanie odpowiedział słabym głosem ktoś, niby parobek Waško. Podbiegła do niego, on to był, ale milczący, przerażony sam jeden.... Koń Wiaducha do wozu był przywiązany

Od parobka nic się nie było można dowiedzieć — tak płakał. Wskazał wreszcie na wysłany i pokryty wóz, na którym trup Wiaducha z porąbaną leżał głową.

W drodze na gościńcu spotkał się z kmieciem Neorża, który pijany był więc zły i bez pamięci. — Gniew miał już na kmiecia, złość na króla. Począł więc lżyć go, kazał go ludziom zatrzymać i... zażgał.

— Za głowę zapłacę! — krzyczał, miecz skrwawiony chowając do pochwy — kością mi w gardle stało to chłopisko.

VI.

Zimowego dnia r. 1348, wieczorem mimo srogi mróz i zameć śnieżną, we dworze Neorży wielka izba pełną była gości i ciągle ktoś jeszcze przybywał nowy otulony opończą, odziany kożuchem, zakapturzony. Z różnych stron miasta ściągali się tu ludzie, zdając się unikać, by ich nie spostrzeżono.

Okna w wielkiej izbie pozasuwane były szczelnie

i dla zimna i dla tego może, aby światło nie zdradzało zgromadzonych.

Było ich tu już kilkudziesięciu, stojących kupą w pośrodku i półgłosem wiodących żywą rozmowę, która niekiedy w gwar niezrozumiała się zamieniała.

Na stołach stały dzbanki gliniane na pół już wypróżnione, resztki chleba i misy, na których już nic nie było.

Neorża w kożuchu prostym, z twarzą czerwoną i nabrzmiałą, oczyma zaognionemi, rękoma sobie pomagał, bo mu brakło wymowy. Otaczający go goście poważniej wyglądali i jakoś rozumniej im z oczu patrzyło. Nie bardzo też wielką zdawali się przywiązywać wagę do tego, z czem się Neorża odzywał, więcej między sobą się naradzając, niż zwracając ku niemu. Znać przybyli tu więcej dla izby ustronnej, niż dla jej pana.

Pomiędzy zgromadzonymi odzywał się najgłośniej Piotr Pszonka z Babina, niewielkiego wzrostu, człowiek z twarzą rozognioną i niespokojnem wejrzaniem.

— Żle to, że król nie jest dla nas takim, jakiegośmy mieć chcieli — mówił z zapalem. — Na rycerstwie i na szlachcie stoi to królestwo, a nas, ojców jego, coraz niżej spychają! Narzucił nam prawa nowe, chce aby wszystkim dobrze było, mieszczanom, chłopom, nawet żydom, tylko nam swobody dawne obrzyna i grozi niewolą. Albożmy to nie pomni dawnych czasów, gdy z duchowieństwem razem królów i książąt zasadzaliśmy i wysadzaliśmy? W cóż się to ta nasza siła i niemoc obróciła? Daliśmy ją sobie odbie-

rać po kawałku, przez własną winę pójdziemy za to w niewolę.

Nieopodal od Pszonki stał, patrząc na mówiącego mężczyzna w sile wieku, oblicza zuchwałego i chytrej przebiegłości. Barczysty był, gruby i jak dąb rosły. Z obojętnością się z nim otaczających, z wejrzeń, jakimi go mierzyli ciekawie, widać było, że znaczenie miał tu nie małe i inni radzi byli jego też głos usłyszeć w tej sprawie. Gęsty włos ciemny z odbłyśkami rudemi zwijał mu się dokoła twarzy nieszpętnej, ale wyrażającej upór i zarozumienie. Brodę krótką a szorstką rudą miał prawie, policzki wystające, usta mięsiste, z pod których przeglądały białe rzędy zębów. Oczy błyszczące niespokojne. Stroj na nim, wdziany niedbale, bogaty był i pański. Spodem suknia lamowana i spinana guzy świecącemi, na wierzchu dostatnia z kun szuba, okryta drogą tkaniną, miecz, na którym wspierał się lewą ręką, wysadzany był drogimi kamieniami, spięcie pasa równie było kosztowne.

Choć Neorża gospodarzem był, on tu zdawał się najpierwszym i jakoby miał prawo do kierowania drugimi. Oglądano się nań ciekawie i trwożnie. Ten jednak więcej słuchał, niż mówił, badać chciał raczej niż sam się zwierzać.

Gdy Pszonka przestał mówić, on widząc, iż mu dłużej milczeć nie wypada, odezwał się głosem silnym i dźwięcznym:

— Wszystko to prawda, co mówicie, ale jeszcze niespełna to, co potrzeba. Tego nie dość! Ziemianie upadają na siłach! Tak! boć i ich ziemie, z których

królestwo się składa, przepadają w niem, a toną. Żadna już się, jak dawniej do tego przyznać nawet nie chce, że odrębną była, że swych własnych książąt miała. Prawo jedno, pieniądz jeden, król jeden, a nasze swobody wielkopolskie, kujawskie, krakowskie, mazowieckie, wiele ich tam było, zmieśli nam w królewskich żarnach na jedną mąkę, i będą nam z niej teraz dawali taką miarkę, jaką zechce. Każda ziemia naprzód o sobie pamiętać powinna, każde rycerstwo z sobą się silnie w kupę wiązać. Gdy pułki takie staną, wojsko z niego urośnie, a dziś co jest? tłum niesforny i zbieranina!

Większa część słuchaczy. jakby tę mowę uważała za bardzo rozumną, poczęła dawać żywe odznaki przyzwolenia.

— Rozumnie mówi! — szeptali jedni — ten ma głowę, tego słuchać!

— Ja moich Wielkopolan — prawili dalej mówca — około siebie ściskam, wiązę i gromadzę. Królowi się kłaniam, ani mu wojny nie wypowiadam, ni posłuchu odmawiam. Milczę pokorny, ale w domu chcę panem być i będę, a gdy zastęp nasz silny urośnie, nie damy się nikomu!

— Prawdę mówi Maciek Borkowicz! — zawołał, potrząsając głową Jan z Rogowa — o! święte to słowa!.. Ta nas jedność zgubiła. Stanie na tem, że będzie jedno królestwo, ale i ziemiany, rycerstwo, panowie, potracą dawne prawa, a tylko moc urośnie królewska.

Maciek Borkowicz, zbliżywszy się teraz do gospodarza, i położywszy mu rękę na ramieniu, po cichu

mu kładł w ucho jakąś radę. Inni zaczęli się rozpraszając powoli. Wtem Pszonka znowu mówić głośno począł, i wszyscy ciekawie się do niego zwrócili.

— Alboż to nie wstyd i hańba, że król nie tylko z nami, ale i z żoną postępuje sobie tak samo. Królowa siedzi niby wdowa na Żarnowcu, a on zaniedbuje ją, bo nie ma czasu; opiekować się bowiem musi wciąż żydami i chłopami. Gotów jeszcze po śmierci żony ożenić się z żydówką lub chłopką, bo chłopów i żydów więcej umiłował niż nasz stan rycerski. Bodajbym sromoty tej nie był prorokiem!

W śmiech obrócono wykrzyknik Pszonki.

— Niechajby z tem robił, jak mu się podoba — odparł Jan z Rogowa — co nam do tego, to spowiedników sprawa. Nam byle rycerstwo i jego prawa szanował, choćby... wiedźmę wziął... nic do tego. Lecz to gorzej, że nas od dworu i od łask odpychają. Ma król kilku ulubieńców swoich, ot takiego Kochana Rawę, co się nawet wojewodom nie kłania, a oni jemu nisko, takiego Dobka Bończę, który do góry głowę zadziera, jakby od innych był lepszy; zresztą któż przy nim? mieszczanin pół Niemca Wierzynek, żyd Lewko, któremu żupy solne w Wieliczce wydzierżawił... kat ich tam zna!

— Lada chłop, lada drab! — wykrzyknął, bełkocąc Neorża — ja o tem wiem najlepiej! Byłże u mnie kmieć Wiaduch, prosty człek, gbur, co myślicie? Król do niego jeździł w odwiedziny, w chacie się rozsiadywał, rozprawiał z nim, jak z człowiekiem, rady mu dawał, stary miłościwie słuchał. Tego juchę, gdy

śmiał potem do Wiślicy jechać, jakby tam dla nich prawo pisano, za co mu król pono podziękował jeszcze, powracającego schwycił na drodze, i gdy mi się stawiać zaczął zuchwale, zarąbałem. Niech drudzy wiedzą, że nie chcę, aby mi chłop łeb do g'ry podnosił, wara im stawać na równi z znami.

— A co do żydów — wtrącił żywo Otto z Szczekarzewic — to też prawda, że on ich strzeże i broni lepiej niż chrześcian. A to dla tego, że przez nich i przez mieszczan wielkie mu skarby płyną, a on bardzo potrzebuje złota. Popatrzcie tylko na dwór królewski, jaki on był za Łokietka, który w prostej chodził opończy, a co za zbytki u niego. Ino szkarłaty i perły na nich, złoto kapie z parobków stajenych. Z cesarzem chce iść o lepsze co do wspaniałości swego dworu. A nam co potem?

Na to mu jego Wierzynek, którego już zrobił szlachcicem, i Lewek z innymi żydkami dostarczają pieniędzy.... Każdą grudkę soli teraz liczą i ważą, ze wszystkiego korzyści ciągną, a gdzie dawniej korzystali ziemianie, teraz on sam i skarb....

— Jeszcze my się kiedyś pozbędziemy tych Judaszów, razem z tym, co ich tak lubi... dopiero lepiej będzie! — zawołał zaperzony Neorża.

Śmiała ta pogroźka, choć może niejednemu była po myśli, w nikim jednakże nie znalazła wtóru.

Wszyscy tu niechętni byli królowi, lecz wahali się i bali inaczej, jak szemraniem, objawiać swe myśli.

Maciek Borkowicz, przysłuchując się z uśmiechem

pogardliwymi, potrząsając głową, rzekł, wodząc oczyma wokoło:

— Eh! próżny to gwar! miłościwi moi, nalajac tam z kąta, to tam każdy potrafi, ale do roboty się zabrać mało kto. Ja, nie chwając się, Wielkopolan moich ściągam do kupy, radzę, czyńcie wy też tak samo u siebie. Z gadaniny nie urośnie nic, chyba kwas.

I kołpaka znowu poprawiwszy z miną butną, Neorży się trochę skłoniwszy, poszedł, na innych nie patrząc.

Gdy się to działo w wielkiej izbie, z której goście powoli rozchodzić się zaczęli, pilnując, aby gromadnie się nie ukazywali na ulicy, każdy w inną udawał się stronę, dotąd milczący człowiek, który się tu nie wiedzieć jak wcisnął, i nie odzywając się, ani mieszając do rozmów, słuchał tylko, stojąc na uboczu, wymknął się też teraz ze dworu Neorży, opończę zasłoniwszy oczy, i pieszo pod płotami, zmierzał prosto ku zamkowi.

Był już za drzwiami, gdy gospodarz, ciągle rozmową rozgrzany, mało co na kogo zważał, prawie go nie spostrzegł wprzód, dopiero wychodzącego zobaczył lepiej; chciał go dognać, ale już było za późno.

Koło Neorży stał Jaksa, który się o córkę jego starał, i chodził dość często do niego, choć wiadomo było, że na dworze królewskim służył i trzymał z królem. Jednakże jego nie obawiano się, bo przyszłego teścia zdradzić przecież nie mógł.

Tego porywczo spytał Neorża.

— Kto to taki? — rzekł Jaksa.

— Któż go przywiódł? Z kim tu przybył?

— pochwycił niespokojnie Neorża — czy nie wy?

— Nie ja — odparł — zapytany.

Neorża zaburezał gniewnie....

— Do kata! — zawołał — stał jak mruk, uszy nastawiwszy, i niewiadomo, kto on jest. Gotów na zamek z oskarżeniem. — To mówiąc, Neorża targał się ze złości za brodę. — Kto przywiódł tego nieznajomego ziemianina, przed którym sądząc, że to swój, z niezem się nie tajono.

Jaksa go nieco uspokoił tem, że on pewno na podsłuchy przysłanym nie był, a samby się wnijsć nie ważył, więc był niewątpliwie przez kogoś wprowadzony.

— Wy też nie do nas, ale należycie do dworu i do króla, to jać wiem — odezwał się Neorża do Jaksy — ale przecież oskarżać nas nie pójdziecie.

Spojrzał nań, Jaksie rumieniec wystąpił na czoło.

— Jam tu przybył wam się pokłonić, miłościwy panie, a nie języka szukać — rzekł żywiej. — Boli mnie to, co przeciwko królowi mówiono, bo ja go miłuję; ale nie moja to rzecz rozgłaszać, co przy mnie, zaufawszy mi, mówiono otwartem sercem. — Zresztą, dodał przybliżając się do wojewody — nie jest na zamku tajemnicą, co który z ziemian myśli i co o królu prawi. Wie o tem dobrze Kochan Rawa, ulubieniec pański, a o czem on wie dziś, to i król wiedzieć będzie jutro.

Neorża się skrzywił, ręką machnął, z Jakśą się pożegnał, i zmęczony i zakłopotany udał się na spoczynek.

Nieznajomy ów, który się był niepostrzeżony wciśnął pomiędzy niechętnych królowi, wprost ze dworu Neorzy na zamek królewski się udał.

Był to Przedbór z bratem swym Pakosławem, zostający na usługach, królewskich lecz, właściwie więcej służąc Kochanowi Rawie, niż królowi. Obaj bracia stali wiernie przy ulubieńcu, który im się wypłacał, zalecając ich jako najwierniejszych sług królowi. Z ubogiej ziemiańskiej rodziny wyrosli, obaj bracia przy dworze szukali szczęścia, a dorabiali się tego, nie bardzo zważając, jakimi sposobami.

Kochan miał z nich posłów, pośredników, pomocników, a gdziekolwiek nie mógł sam, jednym lub drugim się wyręczał.

Kochan ten, choć mało na dworze widywany, choć żadnego nie nosił tytułu i dostojęństwa, był jednym z tych ludzi, z którymi się rachują wszyscy i najwyżsi dostojnicy.

Nie raz, gdy trzeba było króla nakłonić i przygotować do czego, arcybiskup Bogorya, pan z Melsztyna i inni po cichu się do niego udawali. Ale nie można było ująć go datkiem ani pochlebstwem. Samowolny był, dumny, czuł swą siłę. Niekiedy, gdy mu nie po myśli było jakie żądanie, wręcz odpowiadał, iż tego nie uczyni. Potem już trudno było nakłaniać go dłużej.

Między królem a Kochanem dziwnie poufały był stosunek. Zrosli razem; Kaźmirz znał go gruntownie, wiedział z czem mu się miał zwierzyć, a co zamilczeć przed nim, a w każdym razie wiedział, że nikt nad

Kochana woli jego lepiej nie spełni. Bez niego trudno byłoby obyć się Kaźmirzowi. Bo Kochan Rawa najlepiej był zawiadomionym o wszystkim, co się w kraju, w mieście i na zamku działo, a co króla tyczyć się mogło. Donosił jednakże panu tylko o tem, co uznał, potrzebnem, aby uszu jego doszło.

Kochan Rawa i Wierzynek stanowili tę radę potajemną w sprawach osobistych Kaźmirza, która mu życie ułatwiała, osładzała, a w wielu przypadkach od ciężkich osłaniała razów. Oni też jedni zaznali go takim jakim był w istocie.

W Kaźmirzu naówczas widziano to, co każdy chciał upatrzeć; zupełnie nie znali go nawet ci, co mu byli najbliżsi, ani Bogorya, ani ksiądz Grzymalita, ni pan z Melsztyna, ani Wierzynek, ni Kochan Rawa nawet. Każdy z nich widział odsłoniętą mu część jakąś tego człowieka króla, pana lub przyjaciela... sądząc, że ona nim całym była.

Króla zaś wielkiego a nieszczęśliwego, brzemiennej myślanii, a troskami straszniemi, dopiero z czynów jego przyszłość odgadnąć zdołała.

Jedni zwali go pysznym, drudzy chciwym, samowolnym, lub swawolnym inni. W nazwaniu urągliwym „króla chłopków“ tkwiła już niechęć rycerstwa, choć król nie ukrócił mu ani swobód, ani przywilejów; mieli mu już to za złe, że na równi z nimi dbał nie tylko o mieszczanina, ale i o kmiecia, i o żyda; że miasta dźwigał, a mieszczan rad możnymi widział. Ten podnoszący się stan średni, choć wzrost jego wprędce zatamować miano, już się rycerstwu wyda-

wał groźnym. Król z czasem oprzeć się mógł na nim i stawać przeciw uroszczeniom ziemian i panów. Kaźmirz wiedział dobrze, jak go sądzono, lecz miał wobec sądów ludzkich to samo męztwo, które ojciec jego okazywał wobec nieprzyjaciół zbrojnych. Nie troszczył się o głosy złośliwe nie obawiał się pomsty nieczyjej; nie cofnął się nigdy przed oporem tłumu i szemraniem. Krzyczano na wiślickie prawo... przecież król je przeprowadził. Obok męztwa miał obyczaj taki, że o tem co czynił, mówił mało, i to tylko z kilku wybranymi.

Milczenie to sprawiło, iż częstokroć ludzie domyślić się nie umieli, co postanowi, więc obawiali się króla.

VII.

Nazajutrz po dniu tym, gdy nieprzychylni królowi ziemianie u Neorży się zeszli i rozprawiali, dając się nicopatrzenie podsłuchiwać Przedborowi, który wszystkie ich słowa powtórzył wiernie Kochanowi, wszedł Kochan wcześniej do królewskiej sypialni, aby mu donieść o tej niebezpiecznej schadzce.

— Miłościwy panie mój — począł, spoglądając na znużonego króla, który w jakimś dziwnym smutku pograżony patrzył wprost przed siebie. — Miłościwy panie, czasby złym ludziom zamalować zęby.

Kaźmirz rzucił nań wzrokiem roztargnionym i wzrnszając ramionami nie nie odpowiedział.

Znowu się u tego Neorży zbierają, liczba ich się mnoży, nawet z Wielkopolski był na zgromadzeniu sławny zawalidroga Maciek Borkowicz, starosta po-

znański, wygadywać im wolno bezkarnie, to też swy-
wolnie rozpuszczają języki.

— I cóż mówią — zapytał król obojętnie.

— Zawsze jedno i to samo, a teraz im to zawa-
dza, i mówią, że to dla całego kraju wstyd i hańba,
że król z żoną nie żyje, lecz ją jak niewolnicę trzyma
na zamku w Żarnówcu.

— Za słowa karać ich nie będę — przerwał mu
król. — Gdy występek popełni który z nich, dla
przykładu i grozy nie przebaczę.... Słowo wiatrem, ci
co mówią wiele, mało zwykle czynią. Neorża człowiek
zły, to prawda, lecz głupi jest, obawiać go się nie ma
powodu. Nie szanuje go nikt i nikt nie pójdzie za nim.

— Jednak tacy ludzie, jak Maciek Borkowicz
garną się do niego — odpowiedział Kochan — a ten
nie obrany z rozumu, i dużo ma swoich Wielkopolan.

Każmirz bystro spojrzał.

— Jam Borkowicza obsypał nadaniami i łaską,
miałżeby być niewdzięcznym? Cóż on przeciwko mnie
mieć może?

— Nie wiem — odpowiedział Kochan — ale to
pewne, że on jawnie z tymi trzyma, co są przeciwko
Wam.

Król zdawał się niedowierzać.

— Człek to przebiegły i śmiały — rzekł — może
tylko szuka języka.

— A jabym mu nie wierzył — przerwał Kochan
— jest on niezmiernie chciwy wielkości.

— Któż tam był więcej? — zagadnął król.

— Było pono ich wielu, najgłośniejsi przemawiali Pszonka, Jan z Rogowa i Otto ze Szczekarzewic.

Milczeli chwilę; król się zadumał. Rozmowa się przerwała.

— Miłościwy panie — odezwał się wreszcie Kochan — Neorzę trzebaby gdzie na Rusi na zamku osadzić, aby tu nie siał kłólu, drudzyby zamilkli.

Król rozśmiał się głośno.

— Aby się miał za takiego człowieka, którego się lękam — ja, pan i król! Cześć by mu się wyrządziła za wielka. Głupców nie ma się czego obawiać.

Ruszył wzgardliwie ramionami.

Mówmy o czem innem — rzekł — te spiski, schadzki i pogróżki znudziły mnie już do sytości.

W pół godziny później już Kochana na zamku nie było.

Przystroił się, jak był zwykł do wyjścia, mieczyk przypasał mały, łańcuch od króla dany na piersi zawiesił, pacholę za sobą wziął, aby mu większy miecz niosło, który był rycerstwa oznaką i udał się na miasto.

Kamienica Wierzyńska jedna z tych wielu, których on już naówczas był właścicielem, znajdowała się w rynku. W niej skupiało się całe ówczesne życie miejskie, a przynajmniej część jego najgłośniejsza.

Mikołaj Wierzynek był jednym z najczynniejszych ludzi swojego wieku i stanu... choć co prawda stan jego już oznaczyć było trudno. Lubo mieszczanin, miał prawo liczyć się do ziemian, do dworskich urzędników wyższych także go liczyć było można, bo choć

bez tytułów, pełnił obowiązki nie jednego, ale kilku urzędów.

Podskarbin się nie zowiąc, rozrządzał skarbem króla, miał na oku mennicę, w mieście stał za wójta i za radę. Handel też prowadził rozległy, a różny na wszystkie strony. Kupcy w nim głowę swą widzieli.

Ziemiańskie potrzebowało go dla grosza, duchowieństwo szanowało go dla szczodrości. Król pokładał w nim całkowite zaufanie i do wiernych rąk, co miał, oddawał bez liczenia. A miał też i w nim sługę, który życie, mienie, wszystko co posiadał gotów był poświęcić dla króla.

Nie wielkiego wzrostu, lat średnich, lecz krzepki, zręczny i ruchawy Miklasz Wierzynek, choć czoło marszczył czasem, bo miał myśleć o czem, na ustach miał ciągle uśmiech łagodny. Wierzynek krzątał się nienastannie, wstając o brzasku, pracując do późnej nocy, chodząc lub jeżdżąc to do Wieliczki, to do Olkusza, to do Nowego Sącza, to po za granicę z poselstwami królewskimi i sprawami własnymi. Miał ich więcej niż inni na głowie, a pospolity człowiek tylu sprawom podołaćby nie mógł; on pamięcią, rozumem czasem na wszystko starczył, choć nie spieszył się nigdy. Król go się radził i w tem co nie zdawało się należeć do niego; mieszczaństwo nie poczyniło bez niego; kupcy nie uczynili kroku, nie wezwawszy go na pomoc. W domu nie dzielił się z nikim robotą, posługiwał się tylko obcymi, bo z rodziny synów dwóch dorosłych Bóg mu zabrał, a po nich zostały wnuki, nad którymi czuwać było potrzeba. Żonę tę-

sknota dobiła po dzieciach, sam był więc tylko.. i wszystkiego doglądał. Sług i czeladzi kręciło się mnogo, bo mu młodzież swą mieszczenie chętnie oddawali dla nauki, i ta spełniała jego rozkazy.

Dworzec możnego mieszczanina wspaniałością zewnętrzną nie raził oczu, rozległy był jednak, ogromny i choć się co roku rozszerzał spichlerzami, składami, ledwo mógł starczyć ściągającym się zewsząd towarom. Dzień w dzień wjeżdżały we wrota jego ogromne wozy ładowne, zbrojnymi ludźmi otoczone, bo kosztownego towaru naówczas przez puste gościńce inaczej przewozić nie było można; łotrów bowiem i zbójów czyhających na cudze dobro, włóczyło się mnóstwo po kraju.

Młodzieży żwawej kręciło się roje w podwórzach. Jedni ważyli i liczyli, co wyładowywano, drudzy zapisywali, inni znów wszystkich dozorowali. W sieniach, po izbach zawsze było pełno ludzi czekających na posłuchanie; w dziedzińcach od rana do nocy był nieustanny ruch i targowica. Inni tu tracili głowy; Wierzynek jednym oczu spojrzeniem mierzył, poznawał rzecz każdą. Dość mu było spojrzeć na człowieka, aby wiedzieć, z czem przyszedł. Mówił krótko, jak wódz w czasie boju, a co rzekł, to się spełniało natychmiast, bo zwłoki nie cierpiał, a nie znosił nieposłuszeństwa.

Osiodłany koń lub zaprzężony wózek, stał u niego zawsze na zawołanie w podwórzu, bo nie mógł wiedzieć ani dnia ani godziny, czy go gdzie nie zawołają, a gotów chciał być zawsze, skoro tego wymagała potrzeba.

Gdy Kochan Rawa przybył do dworu pana Wierzyńka, stał on właśnie w kożuszkach i futrzanym kołpaku na podwórzu, spoglądając na sanie, które ze skrzyniami wielkimi, towarów pełnymi, dała tego przybywały z Niemiec do Krakowa. Zobaczywszy Rawę, którego król posyłał często z ustnymi poleceniami, pospieszył ku niemu Wierzynek z dobrodusznym uśmiechem na ustach.

— Bóg z wami! z zamku? cóż mi niesiecie — zapytał uprzejmie.

Kochan stał z twarzą zachmurzoną.

Macie czas, bo do izby z tem iść wypada — by wiatr słów naszych nie poniósł, gdzie niepotrzeba.

Wierzynek szepnął coś na ucho zbliżającemu się do niego barczystemu mężczyźnie, jak on w dostatni kożuch odzianemu, pokazując ręką na skrzynię, a potem ujawszy pod rękę Kochana, poprowadził go do izby.

Była to ta, w której on sam zwykle wypoczywał, a wpuszczał do niej tylko tych, przed którymi z niczem ukrywać się nie potrzebował. Dwoje okien, żelaznymi kratami obwarowanych na sposób włoski, nie wiele światła wpuszczało do sklepionej komnatki. Pod oknami i u ścian widać było ciężkie skrzynie dębowe okute mocno w żelazo i wielce misternej roboty, zamkami opatrzone, w których łatwo się domyślać było skarbów. Obok nich stały szafy i police pełne zwitków papieru i pergaminów, worków i mis z pieniędzmi, i prób rozmaitych kruszców i towarów. Na stole leżały też kawałki pergaminu, sznurki, wosk wagi do ważenia złota i klejnotów, zegar piaseczny,

i inne drobnostki. Małeńkie łoże w kącie, przy niem lampka zagasła, nad nim krzyż czarny z Chrystusem z kości słoniowej okazywały, że to była sypialnia Wierzynka.

— Cóż mi to dziś tak chmurno patrzycie — odezwał się gospodarz, spoglądając na gości, który zwolna za nim kroczył, pacholę z mieczem w sieniach zostawiwszy.

— Bom zły — wybuchnął Kochan, którego twarz jeszcze się mocniej zasępiła. — A gdy mówię, że zły jestem, odgadnąć łatwo, że nie za siebie, ani o siebie ale o naszego pana.

Bystro i niespokojnie spojrzał nań Wierzynek.

— Mówcie, coś znowu zaszło, aby mu nie dać spokoju? Co mu dolega?

— Wczoraj — rzekł Kochan — zebrali się u Neorży Niecnoty; Maciek Borkowicz tam był, Otto ze Szczekarzewic i inni. Bluźnili przeciwko królowi, i znawiali się na jego zgubę. Nieszczęsny król, dosyć ma utrapienia z Krzyżakami, z Mazury, z Rusią i z żoną, a jeszcze tego brak, aby ziemianie zaczęli przeciwko niemu spiskować.

— Niezważać na to, słuchać tego, nie poczną oni nic, bo nie mogą — przerwał mieszczanin. — Kto wie zresztą, gdyby się rycerstwo z jakim szaleństwem porwało przeciwko królowi, lepiejby może było. Warcholów byśmy się pozbyli, a siły przeciw nim się znajdą.

— Hm, jeżeli się Maciek Borkowicz do tego wmiesza — to nie łatwa będzie z nim sprawa. Mó-

wił wzruszając głową Kochan — to nie łatwa będzie z nim sprawa. Możliwym jest on panem w Wielkopolsce, i sam powiedział głośno wczoraj, że zbiera około siebie stronnictwo przeciwko królowi i wystąpi z nim, skoro nadejdzie czas stósowny.

— Mówiliście już z królem o tem wszystkim?
— zapytał Wierzynek.

— Mówiłem. Ale król to sobie lekceważy, powiada, że on tylko za uczynki karze, bo słowo to wiatr.

Wtem do drzwi zapukano, posłańcy różni nalegali z pilnemi sprawami do Wierzyńka, więc Kochan wstał smutny z siedzenia, jakby nic nie sprawił, zawiódłszy się na bogatym mieszczaninie, który nie podzielał ani obawy jego, ani gniewów przedwczesnych. Wierzynek odprowadził gościa aż do progu.

Druga izba obszerniejsza pełną była rajców, ławników, kupców, urzędników od żup solnych, a w kącie też i żydów kilku stało, nie śmiejąc bliżej przysuwać się i mieszać z chrześcianami. Wnet obstępiono wychodzącego do nich Wierzyńka, pokłonami dopraszając się prędzej rozmowy, zagadując, cisnąć się ku niemu.

Widowisko to było do przyjęcia na królewskim dworze podobne. Tylko, że tu wszyscy obracali się swobodniej.

Przesuwający się zwolna pomiędzy tłumem tym Kochan, zdawał się nie widzieć nikogo, chociaż wielu ustępując mu z niejaką obawą, witało królewskiego ulubieńca.

Znano go powszechnie, a nie bardzo lubiono — gdyż z ludźmi obchodził się surowo, szorstko, dumnie i odpychał ich lekceważeniem.

Kochan, wyszedłszy tak z podwórza wierzyńkowego, postął we wrotach chwilę i po namyśle zawrócił się ku gospodzie starosty sandomirskiego, Ottona z Pilicy, który, choć Neurzy pokrewny, jednego z nim herbu, nie był mu przyjacielem, przy królu stał wiernie, i z Kochanem w wielkiej żył przyjaźni. — Tego na wypadek wszelki chciał mieć Rawa sprzymierzeńcem, i poszedł doń, aby mu zawczasu opowiedzieć o przygotowującym się spisku na króla, i spowodować go do wspólnego przeciwdziałania.

VIII.

Ciągle rozdartą, niezagojoną raną serca króla Kaźmirza, była myśl smutna, że nie zostawi męskiego potomka po sobie, a koronę w obce dłonie zdać będzie musiał i zejść ostatnim swego rodu.

Nadzieje, które pokładał na ożenieniu się z Adelajdą, spełzły na niczem. Królowa ta nieprzewyciężony wstręt w nim wzbudzała, i widział w niej tylko zwadę, na wieki mu odejmującą wszelkie lepszej przyszłości nadzieje. Na to wiele się różnych składało przyczyn.

Adelajda była wprawdzie z twarzy nie piękna, na umyśle upośledzona, i na ród swój niemiecki dumna i niezdolnie zarozumiała, ale Kaźmirz byłby może przemógł swą odrazę do niej, gdyby królowa Elżbieta węgierska nie była go podburzała przeciwko żonie z obawy, aby przyobiecana korona jej synowi

Ludwikowi, nie została mu z rąk wyrwana, gdyby się prawny następca tronu narodził. Ona i jej przyjaciele, w otoczeniu króla się znajdujący, do których najznakomitszych liczono dostojników, starali się co tylko mogli donosić złego o Adelajdzie i wstręt do niej coraz większy wzbudzać w sercu króla. Z Węgier, jak mówiono, szły na to do Polski pieniądze, aby króla od żony odsunąć ile możności.

Królowej nie działo się nic złego, miała dwór znaczny, cześć przynależną, pańskie otoczenie, zabawy, jakie chciała. Śpiewaków, bazarzy, błaznów sprowadzała sobie z Niemiec, stroiła się w szaty bogate, duchowieństwo starało się opuszczoną królowę pocieszać. Obiecywano jej ciągle lepsze losy.

Lecz dla nieprzyjaciół króla ten rozbrat z małżonką prawą i ukoronowaną, był bronią skuteczną do zochylenia go u ludzi.

Król zaś szukał w innych sprawach pociechy, jakiej w domowym nie miał pożytku... Po spisaniu praw, ustanowieniu trybunału na Wawelu, po uporządkowaniu żup solnych, budowanie miast i zamków pochłoneło całkowicie jego uwagę.

Dotychczas wszystkie one nieomal były drewniane wałami z ziemi, ostrokołami i rowami otoczone, słabe tak, że oprzeć się nie mogły lada napaści.

Z końca w koniec tych ogromnych przestrzeni, któremi władał Kaźmirz, potrzeba było dla obrony, dla bezpieczeństwa, wznosić mury, które jedynie mogły się dłużej opierać nowym środkiem oblężniczym, podrzucaniu ognia, łatwemu obaleniu ścian taranami.

Stała już w murach droga Łokietkowi Wiślica, obmurowywano Płock, trzeba było wznosić zamki na zdobytej Rusi — wszędzie gdzie tylko mógł się dostać nieprzyjaciół, a gdzież na tych płaszczynach, których gdzieś tam tylko broniły rzeki w zimie, mrozem ścinane, wróg nie mógł się zapędzić bez przeszkody?

Każmirz miał na sercu dźwiganie miast i zamków, wstydził się starych lepianek, owych gródków z chrustu i gliny, owych szop z belek sosnowych, które lada ogień obracał w perzynę.

Każda podróż jego po kraju, każda wycieczka wywoływała nowe rozkazy, gdzie gród miał stanąć o ścianach potężnych.

Myśl tę zostawienia po sobie kamiennych grodów, któreby wiekom jego imię powtarzały, tak go teraz zajmowała żywo, tak gorąco, jak wprzód Wiślickie nstawy.

Jednym z ulubieńców, na równi z księdzem Grzymalita, stał się teraz Wacław z Tenczyna. Zazdrościli mu wszyscy.

Był to człowiek z wielkiego Torporczyków rodu, ale małego już mienia. Wacław za młodu począł się kształcić rycersko; potem namawiano go do stanu duchownego, wielkie mu rokując dostojęństwa. Zwrócił się więc do szkoły, do ksiąg i za granicę się udał, do Włoch, które były po wszystkie czasy skarbnicą, z której wszystkie czerpały narody.

Tu Wacław z Tenczyna, patrząc na wspaniałe szczątki starożytności rzymskich, na nowe grody,

gmachy, miasta wznoszące się na szczytach gór, na ruinach odwiecznych, rozmiłował się w budownictwie, w kamieniach, które myśl ludzką zmuszone były wyrażać i ubezpieczać życie ludzkie, zagrożone pożogą i wojnami.

Ziemiannin, rycerz, stał się dobrowolnie kunsztmistrzem. Nie mogło go nic odwieść od przypatrywania się sztuce, z jaką tam ludzie na cześć Bożką stawiali kamienne posągi, swe ogniska domowe głazami otaczali i zabezpieczali swe skarby, owoce pracy. W Polsce nic podobnego nie było i być nie mogło. Upojony tą myślą, powrócił młody Wacław do kraju i wprowadzony na dwór królewski, z taką żywością zaczął rozpowiadać przed Kaźmirzem o widzianych arcydziełach i o tem, czego się z nich nauczył, iż król przejęty zapalem Wacława, powołał go jako swą prawą rękę do wznoszenia grodów.

Ludzi, pieniędzy, kamieni, wszystkiego obiecywał mu dostarczyć. Wielka myśl obwarowania kraju, uczynienia go podobnym do tych, które go wyprzedzały, ogarnęła zarówno króla, jak i młodego sztukmistrza.

Z zazdrością spoglądano na tego nowego ulubieńca, do którego król z każdym dniem się więcej przywiązywał. Gdy rodzina i powinowaci Toporczyka krzywo patrzeli na tego rycerza, który kamieniarzem i murarzem być się nie wstydził, król go zwał przyjacielem, pomocnikiem, sadzał do swego stołu, całe godziny spędzał z nim na rozmowach, miłował go tak,

jak on kochał ten kunszt, który z sobą jako zdobywcę przywiózł od obcych.

W godzinach tych, gdy z królem rozmawiali o wszystkim, czego brakło Polsce ówczesnej, Kaźmirz zapominał o wszystkich swych troskach i dolegliwościach, ciesząc się tem jedynie, że po sobie zostawi kraj obdarzony silnemi prawami, uporządkowany, zagospodarowany, zbogacony, mocniejszy niż kiedykolwiek, a w nim miasta jakby serca bijące, z których życie rozpływać się miało; w nim kmiecie pod opieką sprawiedliwości, osadników obcych, mnogich przybyśców, bezpiecznych, szczęśliwych, mających się stać synami tej ziemi, którą uprawiali. Pociecha wielka spłynęła mu do serca i mówił sobie:

— Nie zostawię potomka, lecz potomstwem mem będą grody, sady, ludność rozrodzona pokojem i tegmachy moje, które przetrwają wieki.

Często, gdy w takich rozmowach z Wacławem z Tenczyna, ten lub ów gród wspomnieli, zrywał się król natychmiast, jechać, oglądać i obmyślać, jak miał być obwarowanym. Siadał na koń z małą garstką ludzi i z Wacławem u boku, jechał oglądać położenie, szukać środków prędkiego wykonania swej myśli, z żup wielkich najczęściej naznaczając wielkie sumy dla przyspieszenia budowli, które pod okiem ulubieńca Wacława, wznosiły się cudownie prędko.

Budował król, naśladowali go inni; biskup Bodzanta wznosił ów bajeczny pałac, na który ciągle pieniądze dawał bratu, a nie miał go ujrzeć nigdy; murowali po miastach kupcy; ziemianie po włościach.

Jak słońce wiosenne wywodzi z ziemi ziarna w niej uśpione, tak Kaźmirza opieka tworzyła naówczas ludzi: Grzymalitę, Wierzynka, Waclawa z Tenczyna — były to jego ducha dzieci.

Kochan z niejaka zazdrością spoglądał na tych trzech ludzi, którzy umieli królowi służyć, nie czyniąc mu zawodu, nie ściągając na siebie wymówek.

Tak upłynęło lat kilka. Król Kaźmirz pozbył się wreszcie niecznośnego ciężaru... królowa Adelajda umarła.

Po jej pogrzebie, najznakomitsi panowie i duchowni zgromadzili się na poufną naradę u Bodzanty, biskupa krakowskiego. Przybył także z Gniezna arcybiskup Bogorya. Dla króla gość, to był zawsze miły i wielce pożądaný. Nigdy jeszcze żadną chmurką nieporozumienia nie zamglily się ich stosunki z sobą; ten wogóle tak surowy i energiczny pasterz, był dla króla prawdziwym ojcem, bo z rodzicielską łagodnością w najcięższych sprawach tak doń przemawiać umiał, że się one zawsze zgodą i wzajemnemi kończyły ustępstwami.

Dzisiaj oprócz arcybiskupa Bogoryi, znajdowali się na tej naradzie ks. Grzymalita, Zbyszek, proboszcz krakowski, Spytek, kasztelan, Jan Nałęcz, podkanclerzy krakowski, Piotr Odrowąż Szydłowiecki, Przedysław z Gołuchowa, Poznańczyk. Wszyscy oni znani byli z życzliwości dla króla, jeden Bodzanta, był z różnych przyczyn zawsze z królem chłodno i niezbyt mu życzliwy.

— Teraz nadeszła wreszcie pora — odezwał się arcybiskup Bogorya — że trzeba, na dobre rozpocząć kroki ku ożenieniu naszego Najmiłościwszego pana i króla. Boleje on od dawna nad tem, że potomka nie zostawi po sobie. Nie stary jest i jako wdowiec bardzo jeszcze młodo wygląda. Żonę mu dać trzeba młodą i piękną, do którejby się mógł przywiązać, a wtenczas porzuci niewątpliwie owe nieszczęsne miłości, o które go nieprzyjaciele obwiniają.

Spytek, kasztelan krakowski, Przedysław z Gochowa, jako i kilku jeszcze panów, do stronnictwa węgierskiego nie należących, odezwali się z pochwałą myśli arcybiskupa.

Bodzanta, przy arcybiskupie siedząc, poruszył się i wnet mówić począł.

— Choćbyśmy to chcieli przyprowadzić do skutku, nie zdołamy. Szanuję pomazańca Bożego, lecz powiedzieć co prawda, że osławionym jest. Żaden ojciec córki mu nie da, aby jej los Adelajdy nie spotkał. Żadna księżniczka za niego nie pójdzie, a na królowę nie tylko młodości i piękności, ale i świetnego potrzeba rodu, aby nam nie uczyniła wstydu.

— Przeczę temu — odezwał się Bogorya — i zaręczam, że księżniczkę znajdziemy. Za króla Kaźmierz stało się to królestwo, czem od wieków nie było, państwem wielkiem i mocnem. Koronę jego włożyć na skroń — warto coś ważyć za to.

— Księżniczkę znajdziemy — odezwał się Spytek — byle on na to trzecie ożenienie się zgodził.

— Ja sędzę — odezwał się Jan Nałęcz, podkanclerzy krakowski — iż gdybyśmy króla o to prosili wszyscy, na nowe zgodzi się śluby.

— Wprzód mu księżniczki poszukajcie, któraby pójść za niego chciała — wtrącił Bodzanta z niechęcią. — Takiej nie znajdziecie na świecie.

— Mnie się widzi — odparł arcybiskup Bogorya — iż nam jej szukać i jemu narzucać nie naszą jest rzeczą. Prośmy go, ażeby się ożenił, a wedle serca niech on sam sobie szuka żony.

Powstała chwila ogólnego milczenia, potem arcybiskup mówił dalej:

— Chodźmy wszyscy razem prosić go o to. Chcemy mieć króla z krwi Piastów, a nie przybyłego z Węgier Ludwika, niech się żeni! Nakażemy modły, Bóg dla nas czynił już cuda...

— Lecz nie dla tych, co prawami jego pomiatali — przerwał mu Bodzanta. — Moi miłościwi panowie — dodał, zwracając się do świeckich — czyńcie, jak wam się podoba, idźcie prosić, ja nie pójdę.

Arcybiskup Bogorya, jakby tych słów nie słyszał.

— Pójdziemy do króla — rzekł stanowczo.

W tem książdz Grzymalita, który był siostrzeńcem arcybiskupa, dając znak wujowi, przemówił:

— Ażeby krok ten był skutecznym — rzekł — należy i to rozważyć, czy mamy wszyscy razem iść do niego, czy pojedynczo o to nalegać przy każdej sposobności. Król nacisku nie znosi — nacisk skutek przeciwny na nim wywiera. Każdy z nas powodowany miłością dla krwi Piastów, dla króla, może i po-

winien błagać go o to. Gdy się zejdą te pojedyncze głosy, może przyniosą skutek.

Bodzanta wzruszył ramionami.

— Miłościwi moi — rzekł szyderez — za to wam ręczyć mogę, iż czy pójdziecie gromadą, czy pojedynczo, on jutro wiedzieć będzie, że z narady to wspólnej wypadło!

Książd Grzymalita wziął te słowa, jako wymierzone do siebie, zarumienił się i rzekł:

— Ani ja, ani książd Zbyszek, ani kasztelan nasz krakowski z tem do niego nie pójdziemy, a pasterz nasz — wskazał na Bodzantę — nie pośle pewnie na zamek zawiadomienia.

— Bodzanta roześmiał się.

— Nie wiem, kto doniesie i kto donosi, lecz wiem to, że król zawiadomiony zawsze i o tem, co powinien i czego wiedzieć nie powinien.

— A o czemże król w królestwie swoim zawiadomionym być nie powinien? — odparł książd Grzymalita.

Biskup groźnem zmierzył go spojrzeniem.

— Zgubną szerzycie naukę! — zawołał — chciełlibyście wy, ażeby król w państwie sam był panem tylko, a my duchowni jego służebnikami. O tem, co my czynimy i przedsięwzięmy, wiedzieć mu nie trzeba, ani się mieszać do tego...

Bogorya, milczący i zadumany, obracał swój wielki pierścień na palcu i wpatrywał się w niego. Teraz podniósł oczy na Bodzantę i rzekł:

— Król duchowną władzę i Kościoła władzę szanuje.

— Nie bardzo to widać było w pożyciu jego z żoną Adelajdą — rzekł szyderczo Bodzanta.

— Sprawa ta nieszczęśliwa skończyła się już wreszcie — odezwał się ksiądz Grzymalita.

— Ale nie zapomniana — rzekł żywo Bodzanta i zadąsany zamilkł.

Po małej chwili uczynił ruch, jakby wychodzić chciał, lecz arcybiskup go powstrzymał.

— Waszego zgodynia się potrzebujemy — rzekł — skłońcie się do myśli naszej.

— Wyście u nas głową — odparł Bodzanta dumnie — chociaż ja w mojej dyecezyi pasterzem. Postanowicie, nie sprzeciwię się, lecz przekonany być nie mogę, bom innej myśli.

To powiedziawszy, począł żegnać Bogoryą, który go pod rękę wzięwszy, do drzwi ze czcią odprowadził.

Wszyscy inni pozostali czas jakiś nie odzywając się. Spytek, Odrowąż i Przebysław z Gołuchowa, nie mieli nic do powiedzenia. Zgadzała się na małżeństwo króla i na środki do przyspieszenia go. A że ks. Grzymalita, znający najlepiej Kaźmirza, radził pojedynczo występować i tę myśl chętnie przyjął.

Bogorya miał najpierwszy wystąpić, a nie mogąc bawić długo w Krakowie, zaraz nazajutrz pojechał z tem na zamek. Budowano tam właśnie i nowe wznoszone mury; król tak się zajmował robotami

około zamku, iż sam codziennie doglądał i dopytywał się szczegółowo o pracę.

Gdy arcybiskup Bogorya zajechał na dziedziniec zamkowy, Dobek Bończa oznajmił mu, że król ogląda mury, które wznoszono, i ofiarował się pójść mu opowiedzieć o goście.

Lecz nim arcybiskup wysiadł, a Dobek ruszył, król stał już w przedsieniu uprzejmie, witając ulubionego pasterza. Z wypogodzoną twarzą weszli obaj do zamku.

— Dzięki Bogu — odezwał się Bogorya — gniazdo to nasze stare coraz ściele się wspanialej. Daj Boże, aby urosło i ozłociło się... na naszą pociechę, ale samemu na niem siedzieć królowi nie przystało...

— Nie winienem ja osamotnieniu mojemu — westchnął Kaźmirz — znacie mój żywot cały, smutki jego i zawody. Dziś za późno!

— Za późno? — powtórzył Bogorya, siadając — jesteś miłościwy panie w sile wieku.

— Przepowiedziano mi za młodu, że zejść bez potomka! — dodał król smutnie.

— Niedorzeczne proroctwa! — pochwycił arcybiskup, któż zna wyroki Boże?

Król opuścił głowę zadumany.

— My wszyscy, którzy ród królów naszych nauczyliśmy się miłować — mówił dalej arcybiskup — modlimy się do Boga i pragniemy, aby te proroctwa okazały się fałszem. Nie godzi się Wam, miłościwy królu, pozostać w wdowim stanie, potomka nie mając. Jest to dobrowolnem wyrzeczeniem się wszel-

kiej nadziei. — Są w królestwie naszym tacy, którzyby Ludwika, siostrzeńca Waszego, radzi widzieli na Piastów tronie! Lecz my, my nie wyrzekliśmy się tej słodszej nadziei, że synowi Waszemu zostawicie przynależną mu koronę.

Mówiąc to, Bogorya patrzył na króla, który siedział z oczyma spuszczonemi, z twarzą zachmurzoną, milczący, jakby rozmowa ta struny boleśnie brzmiące, poruszała w jego duszy. Kilkakroć arcybiskup zatrzymywał się, jakby czekał na odpowiedź, która jednak nie przychodziła.

Każmirz zrozumiał dobrze, dla czego do małżeństwa zachęcał go arcybiskup. Było to niewyraźne napomnienie, iż rodzaj życia, jakie król prowadził w oczach jego niewłaściwym się zdawał. Jakkolwiek lekkie spraw tych dotknięcie, ubodło go przykro. Zawstydził się...

— Po próbach, jakie przeszedłem — rzekł nareszcie król — nową czynić mi trudno, czcigodny ojcze!

— Lecz dla przyszłości królestwa tego, powinniście się poświęcić — odparł Bogorya.

Po długim milczeniu odpowiedział Kaźmirz:

— Nie łatwo mi o żonę, jakiejbym pragnął, a pierwszej lepszej wiaść nie mogę. Śluby są wiekuiste, a omyłkę całem życiem przypłacićby przyszło.

— Lecz Bóg łaskaw i omyłki nie będzie — zawołał arcybiskup. — Szukajcie, a znajdziecie, powiada pismo święte.

Rozmowa ciągnęła się jeszcze, gdy nadszedł ka-

sztelan Spytek, na zamku gość codzienny, arcybiskup umyślnie zwrócił się do niego:

— Jestem pewien, że i wy mi zawtórujecie — rzekł — namawiam naszego miłościwego króla i pana do ożenienia...

— A i mybyśmy wszyscy choć na klęczkach o to prosić gotowi — rzekł Spytek, zniżając głowę przed królem — Wasza pasterska mość wyrwaliście z serc naszych życzenie, któregośmy objawić nie śmieli, choć je od dawna nosimy. Całe królestwo czeka na to.

— Wszak wiecie najlepiej — odparł król, tem naleganiem zakłopotany — żeśmy na wszelki przypadek nie pozostawili korony bezpańskiej. Przeznaczoną jest Ludwikowi.

— I ten nam miłym będzie, jeżeli, co uchowaj Boże, korona spadnie na niego — rzekł Spytek — lecz inna to rzecz, swój pan, z nami wychowany, u nas zrosły, a obcy choć najlepszy! Obyczaj cudzy, prawo inne mimowoli z sobą przyniesie.

Król przerwał z udaną wesołością, jakby chciał zmienić tok rozmowy.

— Jam nie skory do nowego wyboru — rzekł — a i księżniczka żadna nie będzie polhopną iść za wdowca, który już dwie pochował żony. Stary jestem.

— Bogorya się uśmiechnął:

— Byle ochota do ożenienia była, swatać wszyscy będziemy.

— Tak — zakończył król — w moim wieku już

trzeba, aby ktoś żenił, bo sam człowiek nie umie się starać.

Na tem zakończyła się ta niemiła królowi rozmowa, i arcybiskup pożegnał króla, aby co prędzej wracać do swej dyecezyi.

Jednakże odtąd zaczęto ze wszystkich stron nalegać na króla, aby poszukał małżonki.

Król znużony ciągłemi namowami, w chwili rozdrażnienia, odpowiedział posłom publicznie, iż gotów już uczynić zadość woli ich i całego narodu, byle znalazł po myśli swej księżniczkę.

Było to już niejako zobowiązanie się i obietnica.

Kasztelan Spytek i kilku innych, pierwsi wystąpili z myślą, by księżniczki szukać w rodzinie ślązkich Piastów.

Zaczęto się rozpatrywać w rozrodzonych książęcych dworach; ten i ów napomykał już imiona. Swatano Kaźmirzowi najuporczywiej księżniczkę Jadwigę z Głogowa, o której wieści chodziły, że była młodą i piękną i tak wychowaną, że zasieść godną była i na tronie królewskim.

To też po niedługim czasie wyprawiono swaty o księżniczkę Jadwigę, a na zamku spieszo już z przygotowaniami do uroczystego wesela. Kaźmirz nie opierał się już; z zupełną obojętnością dawał sobą rozporządzać tym, co go otaczali. Jadwiga ślązka, czy inna, była mu równie narzuconą i przymusem daną towarzyszką.

IX.

Możnym panem był ten ruchliwy, gorący, nie-

spokojny, gwałtowny Maciek Borkowicz, któremu niegdyś dla zasług ojca Przybysława, wojewody poznańskiego, król rozległe nadał ziemie. Koźmin, Orle, Bożęcice, Golinę i wiele innych posiadłości.

Widzieliśmy go już u Ncorzy, przysłuchującego się próżnym naradom ludzi, którzy coś przeciw królowi przedsiębrać chcieli, a nic nie umieli, tylko szermować językami. Maciek miał naturę inną, choć na pewno do wybuchów łatwą, choć niby otwartą, szczerą i krzykliwą, umiał to pokazać ludziom co chciał, a co zataić postanowił, z tem się nie wydał. Pomimo lat, których teraz liczył z górą czterdzieści mimo, że syna miał dorastającego, którego mu pozostawiła zmarła żona, wyglądał czerstwo, młodo i do niewiaast lubił się zalecać.

Możnym panem był w Wielkopolsce nie tylko dla tego, że ziemi miał sporo, ale, że przez całe życie pracował na to, aby sobie jednać ludzi wszelkimi sposoby. Maciek wiedział dobrze, iż najłatwiej pozyskać sobie serca ludzkie, dogadzając ich słabościom. Bano się go, bo gwałtownym był, ale wiązano się też chętnie z nim, bo myśliwym dawał lasy, ochotnym do biesiady stoły, chciwych godności popychał, łakomych na grosz jednał datkami.

Zdawna już patrzeli niektórzy na Maćka okiem nieufnym. Zanadto się krzątał, zbyt chciał przewodzić w Wielkopolsce, a kto mu zawadzał, uprzątał go z drogi, często zagadkowymi jakiemś i nieznanymi środkami. Wielu z tych, co mu w czemkolwiek do-

kuczyli, poginęło w lasach, w podróży, w zwadzie jakiejś na gospodzie, lub niewiedomo jak...

Na przemiany serdecznym być umiał i groźnym. Miał też nieprzyjaciół skrytych wielu, ale i druhów takich, którzy z nim na oślep iść byli gotowi. Syna wychowywał, aby takim był jak on sam. Nie wiele się też różnił od niego i brat Jan, któremu z dóbr przez króla sobie nadanych, Maciek odstąpił posiadłości Czacz pod Śmigłem.

On, brat jego, Jaśko z Czacza, i syn chodzili zawsze jak sprzężeni. Dwóch jeszcze miał poręczycieli i pomocników, na których przedewszystkiem rachował, Sędziwoja Nałęcza i Skórę, obu ziemian możnych.

Królowi Maciek Borkowicz niby to służył wierne, kłaniał się nisko, a że rubasznym był, i zdawał się szczerym, Kaźmirz się go nie lękał.

Lepiej uwiadomieni twierdzili, iż zręcznie, po ciachu, podstępnie knował przeciwko niemu. Podejrzane były jego ścisłe stósunki z książętą brandenburskimi, nieprzyjaciołmi Polski i z książętą śląskimi, którzy od niej odpadli...

Jawnego jednak nie było nic, co by mu można zarzucać.

Król mu dał wielką władzę, starostą swym w Wielkopolsce uczyniwszy, on jeszcze większą przywłaszczył sobie, garnąc wszystkich do siebie tem, że się czynił obrońcą praw i odrębności tej ziemi.

Garnęli się do niego ludzie w dobrej wierze i do tego przyszło, że stanął na czele związku ziemian Wielkopolskich, o jakim jeszcze nigdy słyhać nie

było. Długo się to przygotowywało, aż wreszcie na zwołanym do Poznania zjeździe wszyscy najcelniejsi ziemianie, z Przeclawem, kasztelanem, i Mikołajem sędzią na czele, złożyli na piśmie układ, aby wzajem się bronić i trzymać w jedności. Wprawdzie była tam mowa, że królowi wiernymi być mieli, ale słowo to nic nie znaczyło wobec czynu, który sprzął Wielkopolan Grzymałów, Nałęczów, Doliwów, Leszczyców, Habdanków i podał w ręce ambitnemu staroście Borkowiczowi.

Przypominano już po cichu zdradę Wincentego z Szamotuł, który też około siebie uzbierawszy ludzi poprowadził ich do Krzyżaków. Na czele tych, co lepiej znając Maćka, obawiali się go i ostrzegali, aby się z nim nie wiązać, był rodzony wuj jego, wojewoda Benjamin, którego zwykle starym Beńkiem zwano. Z tym już Maciek pogniewał się śmiertelnie, i oba się na siebie odgrążali.

Działo się to właśnie wtedy, gdy po wszystkich ziemiach rozeszła się pogłoska, iż królowi zeswatano Jadwigę, księżniczkę Głogowską. Doszła ta wiadomość i do Poznania, a ztamtąd do Koźmina. Dworzec w Koźminie, za miastem, w którym Borkowicz często przebywał, dosyć był obronny, wałem osypany, ostrokołem opasany, ale, jak wszystkie Borkowicza dwory, służył mu tylko za obozowisko. Człowiek ten, choć możny, nie lubił błyskotek i wygod. Żołnierz, nieustannie na koniu, w podróży, gdziekolwiek przebywał, jako tako się urządzał i o przepych nie dbał bynajmniej.

Ludzie za to u niego dobrani byli i jak najlepiej zbrojni, nakarmieni szczodrze, opłacani hojnie, a wszyscy zbóje, którzy nie cenili ani swego, ani cudzego życia. Byle pan skinął, każdy z nich na rodzzonego brata iść był gotów.

Teraz Maciek już od dni kilku siedział w Koźminie z bratem Janem z Czacza i synem Przemkiem i z nieodstępnyimi Sędziwojem, Nałęczem i Skórą. Na koźmińskim dworze życie i ruch był niezmierny. Ziemianie ciągle przybywali i odjeżdżali; stoły bywały zastawiane od rana do nocy, beczki piwa wypróżniały się w oka mgnieniu, miód lał się strumieniami, mięsiwa i chleba trudno było nastarczyć.

A kto zajrzał do izb, w których się rozlegały ciągle gwar i śmiechy, nie posądzałby pewno, żeby się tam co knować mogło. Niekiedy tylko starosta Maciek, któregoś z ziemian za szyję ująwszy, odwiódł do komory, poszeptał tam z nim, a potem z miną wesolą powracał do stołu.

Dnia tego, w którym znajdujemy Maćka na dworze koźmińskim, już się byli rozjechali goście po samym obiedzie; jeden tylko, co dopiero z Krakowa przybyły, siedział za stołem i jadł, bo był drogą wygłodzony, popijał i przytem ciągle coś opowiadał.

Maciek leżał na ławie w sukni rozpiętej i rozpuszczonej, ręką niespokojną krótką brodę targając, z twarzą, na której widniało wielkie z siebie zadowolenie. Krakowski gość, imieniem a raczej przezwiskiem Groszek, był ubogim szlachcicem herbu Półkozic, czepiał się różnych możnych panów, a teraz

służył Borkowiczowi. On mu zwykle przynosi wieści o wszystkim, co się działo na królewskim dworze i czego się dowiedział po drodze i u innych przyjaciół Maćka. Groszek mówił cicho a prędko, potrosze szepleniąc.

— Króla żenią, Wierzbietą pojechał swatać.

— A z kimże to? — zapytał ciekawie Maciek.
— Pewno znów z Niemką jaką, bo Litwinki drugiej, ani Rusinki dla grubego obyczaju nie weźmie.

— Niemkę, nie Niemkę — począł Groszek — ale tak jak Niemki gładko wychowaną i młodą. Mówią na pewno o Jadwidze, księżniczce Głogowskiej.

Maciek, który na ławie leżał, usłyszawszy to inie, zerwał się nagle, aż ława pod nim zatrzęszczała, podniósł się i podskoczył do mówiącego z brwiami groźnie namarszczonemi.

— Niedoczekanie jego! — krzyknął, wodząc za iskrzonemi oczyma.

Brat i syn spojrzeli na niego, tak jakby go hamować chcieli. Krwią całe oblicze jego nabiegło.

— Nie może to być! — powtórzył.

— Com słyszał, to opowiadam — rzekł przestraszony Groszek, jakby na dzikiego zwierza nastąpił znieścacka. — Arcybiskup Bogorya z księdzem Grzymalitą, pierwsi go do ożenienia skłonili. Oni też mu wyszukali księżniczkę Jadwigę i mówią już w Krakowie o weselu.

Maciek słuchał z twarzą rozplamienioną. Brat jego Jan i synowie wiedzieli, co gniew jego znaczył. Starosta sięgał wysoko! Na Wielkopolsce oderwanej

z pomocą swych związkowych zasieść jako pan udzielny, przy pomocy Brandenburgów i Krzyżaków, a z Jadwigą chciał się on sam ożenić.

Na dworze w Głogowie nie źle go przyjmowano. Księżniczka nie miała konkurenta, a za męża wyjść chciała i wydać ją życzono. Młoda, piękna, żywa, wesoła do zbytku, czasem i na łowy jeździła, a samotnej w kącie siedzieć i w krosnach, jak inne niewiasty haftować, nie w smak jej było.

Maćkowi już dojrzałemu przyszła ochota starać się o jej rękę. Zajeżdżał często na dwór Głogowski, siadywał długo, podarki woził potajemnie, albo przez ochmistrzynią przysyłał księżniczce. Mówiono, że je przyjmowała, choć trudno było dojść, czy chciwa, stara Niemka nie zabierała ich dla siebie. Wszystkie te piękne nadzieje obracała w niwecz wiadomość, przez Groszka przywieziona. Straszna złość przejęła tego gwałtownego człowieka, stał wzburzony i słuchał milczący...

— Ślężacy za niego jej nie dadzą — zawołał wybuchając. — Alboż oni go nie znają? kto go nie zna, tego poganina. Nie dadzą!

— Na dworze powiadają — przerwał mu Groszek — że arcybiskup wpierw się upewnił o tem, zanim się swatem uczynił.

— Po co jemu żony! — krzyknął rozzłoszczony starosta. — Wszakże już królestwo i nas sprzedał w węgierską niewolę... co mu teraz po synie!

Stojący obok brat Jan z Czacza, mruknął, wtorując.

— Węgry nie dopuszczają ożenienia... Potrafią oni... Elżbieta pobrzęknie trzosem i wszystko powiła i popsuje... Maciek tak zwolna burząc, ku ławie powrócił. Groszek dobrze się najadłszy i podpiwszy, połą zbrukanego kaftana wąsy sobie ocierał. Milczenie krótkie dało czas do namysłu, starosta zdradzać się nie chciał.

— O nas co tam mówią? nie słyszałeś? — zapytał nagle Borkowicz..... Co o piśmie, któreśmy sobie dali? Ja sam królowi o nim doniosłem.

— We dworze słyszałem, jakoby mu to wytlómaczyli, że w tem nie ma nic, tylko zabezpieczenie od warcholów...

Starosta nic nie rzekł na to.

Badałby był może posłańca dłużej, ale w tej chwili wbiegł sługa z oznajmieniem, że gość nowy przyjechał i ledwo to wymówił, ukazał się na progu Wierzbietà, o którym co dopiero była mowa.

Z tym Borkowicz wcale się nie lubił, bo się go obawiał, a ująć go nie mógł. Wierzbietà był w łaskach u króla, jako mąż stateczny, poważny i twardy. Wszyscy go szanowali, bo się sam szanował; górą chodził i do tych należał, których nie weźmie nikt nawet na słodkie pochlebstwo.

Na widok jego, zerwał się Borkowicz, bratu i synowi jakieś znaki dając. W istocie ta izba stołowa wcale na przyjęcie gościa tak znacznego nie była przygotowana. Przesunęło się przez nią od rana ludzi dosyć, a czeladź męzka i żeńska stoły zapomniała opróżnić i oczyścić. Nieład był, jak w obozie, lub

na popasie w gospodzie. Psisko ogromne właśnie wkradłszy się niespostrzeżone i wparłszy łapami na stole, wylizywać zaczynało misy.

Maciek z dumnem obliczem wystąpił naprzeciw gościa i grzecznie go przywitał. Wierzbięta nie bardzo się oglądając, zbliżył się do starosty.

— Przebaczcie mi wasza miłość — rubasznie rzekł Borkowicz — bom ja tu choć w domu, ale jak w gospodzie, więc nie dwornie u mnie i nie wykwinie. Jam żołnierzem bywał i prostych obyczajów się nie pozbył.

— Ano, to wszystko dobrze — odparł obojętnie Wierzbięta — byłem was zastał w domu, zresztą mi niczego nie potrzeba.

Starosta zrobił miejsce na ławie dla nowoprzybyłego, sam się obok niego sadowiąc; brat i syn oddalili się, aby służbie wydać rozkazy.

— Jadę wprost z Krakowa — odczwał się wolno Wierzbięta — król kazał mi was pozdrowić.

Maciek skłonił głowę.

— Bodaj nam zdrów jak najdłużej panował — rzekł po cichu.

— Rad się o Wielkopolskę dopytywał — ciągnął dalej nowoprzybyły — ale ja nie wiele powiedzieć mógł, bo wiem szczupło. Trzebaby, abyście wy lub wuj wasz Bieńko, wkrótce mu o tem donieśli obszernie.

— Jam się też po piśmie naszym, do Jego królewskiej Mości wybierał — rzekł, jaskając się Borkowicz. — Chciałem sam zdać królowi ze wszystkiego sprawę, ale u nas jest tyle do czynienia, że się pań-

ski starosta oddalić nie może. Bieńko, stary i powolny, na mnie ciężar wszystek się zwałił, a po lasach, po gościńcach rozboje ciągle, warcholów dużo i żelazną ręką ich karcić trzeba.

Wierzbęta słuchał z uwagą.

— Juści będziecie się mieli kim wyręczyć — rzekł — choć na wesele przybędziecie do Krakowa.

Wspomnienie to poruszyło znów starostę, tak, że się ledwo nie zdradził.

— Na jakie wesele? — zapytał, udając zdziwienie.

— Wiedzieć przecież winniście, iż król się wreszcie prośbami wszystkich dał skłonić do ożenienia...

— Jeszcze raz? — przerwał mu Maciek.

— Nie stary jest — rzekł krótko Wierzbęta.

— A przeznaczona Ludwikowi korona!

— Wiecie, że w zapisie jest warunek, gdyby potomka nie miał.

— Daj Boże szczęście — odparł Borkowicz. — Ale król nie bardzo młody, jeśli sobie dobierze żonę stósowną do wieku, potomstwa nie będzie, jeśli mu młodą narają... — nie dokończył, potrząsając głową.

— Swatają mu Ślązką Jadwigę — rzekł Wierzbęta.

Maciek poruszył ramionami.

— Co mam rzec? Daj Boże szczęścia, choć ja go się spodziewać nie mogę.

— Boże uchowaj złego! — rzekł Wierzbęta — ja mam lepsze nadzieje.

A potem chwilę pomilczawszy, dodał:

— Radzę wam, do Krakowa jedźcie, królowi się stawcie. Różni tam ludzie mogli mu wasze pismo tłómaczyć krzywo; opowiecie sami, że go potrzeba było; a król się uspokoi.

— Jest przecież w tem piśmie, iż królowi wierność ślubujemy — zawołał Borkowicz — ale ja wiem to dobrze, że mam nieprzyjaciół. Niepoczeiwe języki wszystko obluźgać są zdolne. Z najczystsze­go człowieka uczynią poczwarę.

Wierzbęta słuchał w milczeniu. Wreszcie odpowiedział:

— Król nie pohopny jest do uwierzenia lada komu. Więc też i pisma tego za złe nie wziął, tylko nie miłem mu może, gdy się jedna ziemia osobno wiąże i rozdziela, a onby je właśnie rad wszystkie połączyć.

Borkowicz brodę potarł.

— Odrywać się nikt nie chce — rzekł — ale ziemianie nawykli od dawna w każdym kraju trzymać swe prawa i obyczaje. Taką Polskę Krzywousty mieć chciał, w której choćby wielu panów było, jeden stał nad wszystkimi najwyższy — Maciek ożywił się mówiąc i niby z całą otwartością prawił dalej.

— Z krajem jest tak, jak z majątnościami, gdybym ja chciał sam gospodarzyć tu w Koźminie i w Orli i w Bożęcicach i w Golinie, niczego bym nie dopatrzył jak należy. Przeto włóдарzy trzymam, władzę im moję zdaję i rachunki od nich odbieram. Tak i w królestwie, im ono większem jest, tem wię-

cej mu trzeba włóдарzy udzielnych, którzyby mieli moc rozporządzać się jako zechcą.

Wierzbęta słuchał.

— Nie inaczej też jest — odpowiedział — wielkorządców król stanowi w każdej ze swych dzielnic, a Ziemowit Mazowiecki...

— Takich jak Mazowiecki, więcejby być powinno — przerwał Maciek żywo — a wielkorządców mniej. Ci władzy całej nie mają, a przez to niewiele uczynić mogą.

— Nie zapominajcie, że przez takich jak Ziemowit, Pomorze nam się oderwało — rzekł, marszcząc się Wierzbęta.

Borkowicz, jakby czując, że się już za wiele wygadał, umilkł nagle.

Nowoprzybyły gość począł więc mówić znowu.

— Nie zawsze to rzecz rozporządzać. Król władzę ma i co uczyni dobrem będzie. Na rozumie i na radzcach mu nie zbywa. Ojciec jego życie całe strawił na składaniu z kawałków wielkiego państwa, dzieła jego syn psuć nie będzie. Z tem do was przybyłem — dodał — abyście do Krakowa jechali i królowi się jasno wytłómaczyli. Mówicie sami, że nieprzyjaciół macie, ja o nich nie wiem, ale tem ci pilniej powinniście się starać o to, aby wam złe języki nie szkodziły.

Zamarszczył się Borkowicz, pogardliwie twarz skrzywił i nic nie odpowiedział.

Choć nie wiele ładu w domu jego było, przecież nie godziło się gościa z domu puścić, nie poczęsto-

wawszy go jadłem i napojem. Zastawiono więc stół dla Wierzbięty, a ten odmówić nie mógł. Ale konie jego czekały nie wyprężone w podwórzcu, więc zaledwo pokrzepił się trochę jedzeniem, wstał i pożegnał się mówiąc, że dla pilnych spraw jechać musi dalej.

Borkowicz po wyprowadzeniu Wierzbięty aż do drzedsieni, wróciwszy do izby, padł zamyślony na ławę, brodę sobie targając, w strasznym wzburzeniu. Nie odwiedziny Wierzbięty, ani powołanie do Krakowa tak go poruszyły, ale wiadomość potwierdzająca się, że księżniczka Jadwiga miała być zaślubioną królowi polskiemu. Oprócz zamysłów dźwignięcia się przez ten związek i pozyskania sojuszków książąt śląskich, tak, jak już Brandenburezyków miał po sobie Maciek, pomimo dość już późnego wieku, rozmiłowany był w księżniczce. Młoda Jadwiga łaskawą nań była, pochlebiał sobie, iż pozyskał jej serce; teraz więc przemyślał nad tem, jakby królowi porwać i uprowadzić narzeczoną, pewnym będąc, że ona zgodzi się na to.

— Gdy wszedł brat Jaśko z Czacza, zawołał nań zdala:

— Muszę jechać, dziewczynę gotowi gwałtem wydać, trzeba zobaczyć, jak tam rzeczy stoją. Była dla mnie życzliwą, jeżeli się uda, gotowem ją wykraść i zaślubić.

Jaśko coś głową powątpiewająco potrząsał.

— Dobrze rozważcie, abyście się dla dziewczyny daremnie nie uwikłali. Sprawa gardłowa! Narzeczoną królewska! — rzekł powolnie.

— Niewiadomo, czy już narzeczona, czy tylko zamówiona — rzekł Borkowicz. — Mnie natychmiast potrzeba jechać do Głogowa, lub gdzie ona jest i przez starą ochmistrzynią tajemne posłuchanie sobie u niej wyrobić...

Brat, który się starszemu nigdy nie sprzeciwiał, umilkł, lecz widocznie zamiarów tych nie pochwalał.

Gdy Borkowicz raz co postanowił, nikt go przekonać, ani zdania jego zmienić nie zdołał. To też i teraz kazał konie przysposobić. Ludzie jego zwykli byli wszystkie rozkazy wypełnić w okamgnieniu i nim on się przybrał do podróży, był w pogotowiu wybrany dwór, gotowe były konie. Syn pozostawał w domu, mając czekać na ojca w Koźminie.

Po drodze już dowiedzieli się, że sprawa małżeństwa króla polskiego z księżniczką Jadwigą, była postanowiona, że w Głogowie posłów z Krakowa oczekiwano. Maciek, burząc się, jechał co prędzej.

Przybywszy do Głogowa, nie pokazał się na zamku książęcym, lecz najął sobie na kilka dni pomieszkanie w gospodzie, a do starej ochmistrzyni wysłał pofnogo sługę, aby doń do gospody na chwilę przybyć zechciała. Opłacana sownie za każdą przysługę, stara pani odpowiedziała posłańcowi, że do gospody wieczorem przybędzie.

Borkowicz czekał na nią, palając niecierpliwością...

Ciemno już było, gdy otulona płaszczem, zjawiła się w progu podstarzała Niemka. Była ona niegdyś piękną, lecz od dawna już nie mogąc liczyć na swe

wdzięki, zręcznością, pochlebstwy, przewrotnością i niewieściami wybiegi, ludzi sobie ujmować potrafiła, a mianowicie księżniczkę, którą wychowywała i której nadskakiwała, na wszystko zezwalając, czego tylko zażądała młoda jej pani.

Borkowicz pozyskał sobie starą panią Konradową podarunkami, a że księżniczce się dosyć podobać umiał i o sobie prawil wielkie rzeczy, obiecywał się uczynić udziałnym księciem Wielkopolskim, za pomocą Brandenburczyków, zawrócił trochę głowę dziewczynie.

Zjawienie się Konradowej nic dobrego nie zwiastowało; przychodziła z twarzą usznurowaną, pochmur-na i zakłopotana.

Sam na sam z Maćkiem zostawszy, złożyła chude ręce.

— Wiecie już wszystko! — zawołała głosem stłumionym. — Co księżniczka łez wylała, ale na nic się to nie zdało, korony odmówić nie pozwolą, choćby się dla was zrzec jęj chciała.

— Jeżeli mnie miłuje, — przerwał gwałtownie Borkowicz — niechże ma i odwagę! porwę ją i wykradnę! nie dogonią nas..... Gotowem kilkuset ludzi zebrać!

Konradowa aż się zatrzęsła.

— Ale z niej oka nie spuszczaają — zawołała. — Choćby się chciała wyrwać z tej niewoli, nie może.

— Siłą, nocą na zamek wpaść gotów jestem — począł Maciek. — Załogi wielkiej nie ma. Zechce li, zgodzi się na to, niech skinie.

Konradowa wielce zmieszana, milczała czas jakiś, głowę tylko pochylając.

— Gdyby na prawdę sprzyjała mi — dodał starosta — jam na największe ofiary gotów. Życie postawię!

— Jużci, jużci! — przebaknęła po chwili milczenia, stara Niemka — że ona wam bardzo sprzyjała i sprzyja, to ja wiem najlepiej. Że nie ma ochoty iść za męża, za tego króla, który już trzecią małżonkę bierze, toć nie dziw... Ale cóż ona, biedactwo, na to poradzi, kiedy jej rodzina każe? toć to król...

Maciek szyderczo się wykrzywił. Stara patrzała nań.

— O porwaniu gwałtownem ani myśleć — rzekła — onaby was na takie niebezpieczeństwo wystawić nie chciała. Wolałaby zginać sama.

Potem Borkowicza z wolną ręką dotknęła, schyliła się ku niemu i z tajemniczym wyrazem szeptać poczęła.

— Przeciw takiej mocy się zrywać! po co wam to? Ona króla nigdy kochać nie będzie. Każą jej, więc pójdzie za niego... Alboż dla was nie lepiej być ulubieńcem królowy, niż głowę darmo nałożyć? Zważcież, ona wam sprzyja, pójdziecie na dwór, zyskacie u niej wielkie łaski, a przez nią i u króla.

Głową poruszała stara i za suknią go chwyciła, coraz goręcej, usiłując go przekonać, że rada jej była najlepszą.

— Borkowicz począł też dumać — Konradowa,

kto wie, mogła mieć słuszość. Wykradaść księżniczkę trudno było, pogoń mogła ich pochwycić i życiem przypłacićby przyszło. Księżniczka też, jak wiadać było z tego, co stara mówiła, nie odważyłaby się na ucieczkę. Królową za sobą mieć, posłużyć mogło; za jej pomocą mógłby kto nie dokonać dumnych swych planów.

Kto wie, jakie jeszcze myśli wysnuwał starosta, bo umilknąwszy, nie naglił już o wykradzenie.

Stara Nienka, widząc go już tak posepnym, pocieszać go usiłowała, opisując, jak księżniczka płakała, jaki żal był po nim.

Wreszcie starosta wcisnąwszy jej w rękę podarek znaczny, pożegnał ją, prosząc, aby księżniczce opowiedziała o żalu jego i rozpaczy.

Dnia następnego, zaledwo się rozwidniło, Borkowicz wyjechał z Głogowy. W Koźminie stanąwszy, zaraz począł robić przybory do wyjazdu do Krakowa, choć się na Kaźmirza sierdził strasznie, pojechać doń musiał.

— Mała rzecz jechać — mówił do brata — mniejsza rzecz, że głowę trzeba pochylić przed nim, najgorsza, że kłamać trzeba i fałszem się dławić! Ale inaczej na wierzch nie wypłynę. Z królem do czasu trzeba być w zgodzie, aby mnie na wesele zaprosił.

W poczcie więc, do którego się kilku Wielkopolan przyłączyło, ruszył Borkowicz do Krakowa. Za nim szły wozy i skrzynie kute, okryte suknem i skórą, w których pieniądze wioził, bo sam ich chciwy, sądził, że nimi wszystkiego i wszędzie do-

konąć można. Dotąd mu się jego najzuchwalsze pomysły tak wiodły, że sobie ufał coraz więcej, a drugich lichy cenił. Ani wojewoda Benjamin, wuj jego, ani Wierzbęta, nie zdawali się jemu wcale straszyni.

Zbliżając się do Krakowa, uczuł w sobie jakąś dziwną niesmiałość, jakiś go ogarnął niepokój, lecz w przedce otrząsł się z tego i do stolicy wjechał bujno, szepecąc bratu:

— Głupi oni wszyscy, u mnie będą w saku!

X.

Zbliżał się czas wesela królewskiego, do którego wielkie czyniono przygotowania. Napróżno królowa Elżbieta słała do brata, odradzając mu małżeństwo i wróżąc życie nie miłe. Całe stronnictwo jej na dworze polskim przeciwne było temu ożenieniu. Duchowieństwo, arcybiskup na czele, nawet biskup Bodzanta, byli za niem, a z rycerstwa część znaczna, która obietnicami swobód przez Ludwika Węgierskiego zjednaną nie była.

Na zaniku już wszystko było gotowem i dzień ślubu wyznaczony, gdy powiernik Elżbiety, Węgrzyn Almaz, przybył do króla z tajemnem poselstwem, którego ani pismu powierzyć nie chciała Elżbieta. Wszystkie te zabiegi niecierpliwiły Kaźmirza i prędzej może skłaniały go do tego związku.

Z niechęcią więc prawie przyjął król Almazego. Z postawy jego i wstępnych słów, poznał król, że chodziło o coś bardzo drażliwego.

Przebiegły Węgrzyn, począł od zapewniania,

że królowa Elżbieta tylko dobrem i szczęściem brata swego była powodowaną. To ją skłoniło do wywiadywania się o wszystkim, co się księżniczki Jadwigi tyczyło. Lecz ze smutkiem dowiedziała się królowa z najpewniejszych źródeł, że księżniczka ta była płocha i swawolna, z mężczyznami starymi i młodymi w obejściu zbyt śmiała. Między tymi, którzy na dworze Głogowskim z obecną narzeczoną króla bliższe mieli stosunki, znajdował się także osławiony starosta Borkowicz, który zuchwałe oczy na nią śmiał podnieść i przez starą ochmistrzynią podarki przysyłał, potajemnie widywał się z księżniczką i t. p.

Słuchając tego doniesienia, król się oburzył niezmiernie, porwał się z siedzenia i oświadczył Almazemu, że wszystko to jest wierzną bajką i dalej mu mówić nie pozwolił,

— Powiedźcie siostrze mojej — zawołał wzruszony — że umiem cenić tę jej o mnie troskliwość, lecz sam ślepy nie jestem. Nim do umowy przyszło, zasięgaliśmy wieści u ludzi; księżniczka młoda jest i żywa, jak każda w jej wieku, lubi zabawy i śmiechy. Na dworze śląskim bywało wielu, bywał i starosta wielkopolski, lecz bajką jest, aby z nią bliższe miał stosunki. Dozór tam jest pilny i rzecz wprost niemożliwa, aby jakiś ziemianin, choć możny, śmiał podnieść oczy na księżniczkę takiego rodu. Wszystko to wcale odstąpić mnie nie może, królowa zna mnie i wie, że ja, gdy ludzie się przeciwko mnie stawiają, z placu nie uchodzę, owszem na przekór czynić im jestem gotowy.

Almazy mówić już nie nie śmiał, widząc króla zagniewanym. Pożegnał go i odjechał z ostrą odprawą.

Każmirz chodził przez cały dzień wielce wzburzony i zagniewany. Wieczorem dopiero kazał przywołać Rawę i rzekł do niego smutnie:

— Ludwikowi, siostrzeńcowi memu, zanadto się chce królestwa tego. Prawda, że dwa państwa połączone z sobą, wielką mieć będą potęgę, lecz i Polska sama z odzyskanem Pomorzem, wcielonym Mazowszem i zawojowaną Rusią, ostoi się o własnej sile.... Chcą, bym zszedł ze świata bez dziedzica! Dziś mi poselstwo sprawił Almazy. wioząc bajkę głupią, jakoby Jadwiga płochą była, a nawet z prostymi ludźmi, jak Maciek Borkowicz, zbyt blizkie zawierała stosunki.

To mówiąc, król wzruszył ramionami.

— Na Borkowicza zwalają wszystko, chcą go widać uczynić kozłem ofiarnym. Ma związki przeciwko mnie układać, ma mi narzeczoną moją potajemnie uwodzić... czyhać na spokój mój i cześć korony.

— Panie mój — odezwał się po małej chwili milczenia poważnie Rawa — Borkowicz zuchwałym jest, porywczym, ambitnym, a tacy ludzie jak on, tam czasem sięgają, gdzie niktby inny nie ważył się ani myśla. Plotka, czy potwarz, o której wam wspomniał Węgrzyn, chodzi po świecie, i ja już o niej słyszałem. Wiary jej nie daję, lecz ją powtarzają ludzie.

Krół zmarszczył się.

— Marne paplaniny! — zawołał — wymyślone

przez tych, którzy małżeństwu memu przeszkodzićby chcieli! Borkowicz, jak wiesz, był tu w Krakowie i na wierność mi przysięgał. Niepodobna, aby knuł jakie spiski! niepodobna, aby do tego stopnia oszalał, i Brandenburgów i Ślązaków sobie zyskiwał, sądząc, że mnie na tronie poruszyć może. Za mały on! Zgniótłbym go jednym uderzeniem.

— Miłościwy Panie! — odparł Kochan — są ludzie zuchwali, co na sakrament w kościele porwać by się nie obawiali. Otóż Maciek Borkowicz do takich ludzi należy, nie świętego nie ma, a w ich mniemaniu nie dla nich za wysokiego.

Król się rozśmiał.

— Stracha jakiegoś chcecie mi uczynić z tego Maćka — rzekł pogardliwie. — Nie dziwiłbym się innym, ale tobie, co ludzi znasz i masz rozumu dosyć, dziwię się.

— Miłościwy panie — rzekł Kochan nieco obrażony. — Nie boję się jego dla Was, lecz właśnie, iż znam tego człowieka, wierzę we wszystko, o co go posądzają. Niech on sto razy przysięga się i zapiera, i do stóp się Waszych skłania, powiadam, że jeśli zdrajcą nie jest, to chyba, że nie zdoła, ale, że w sercu zdradę ma, to mu z oczu patrzy.

Król słuchał słów Kochana z uwagą.

— Jeżeli zdradę knuje — rzekł — przykład na nim uczynię, jak zdradę ukarać potrafię. Nie o mnie idzie, ale o koronę, której ktokolwiek tknąłby chciał — zginie.

Ostatnie słowa wymówił król tak dobitnie, iż

Rawa, nie wznowiając już rozmowy, wysunął się po cichu z komnaty.

Nadszedł wreszcie czas wesela na królewskim zamku. Wszelkiego rodzaju rozrywki, zabawy i igrzyska następowały jedne po drugich. Rycerstwo codzień miało gonitwy i turnieje; za niemi szło rozdawanie nagród zwycięzcom, uroczyste tany, muzyka i uczta. Zapas wcześniej przygotowany, dozwalał starczyć na wszystko. Król zdał się z tem na swojego Wierzynka, a ten miał ludzi, którym ufał i wszystko szło hojnie a skrzętnie.

Wśród pospolitej gawiedzi, wesele w istocie wesołem się zdało, twarze były nśmiechnięte, policzki zarumienione, oczy błyszczące, postawy butne; lecz uważny widz mógłby być dostrzedz pomiędzy starszą, oblicza poważne, nieniał smutne. Nie było to dziwnem, gdyż królewskie gody, budziły bardzo różne uczucia. Znaczna część możnych z otoczenia pańskiego, krzywem na nie okiem patrzała. Wszyscy, co trzymali z królową i Ludwikiem Węgierskim, przeciwni im byli, a tych liczba była niemała.

Na króla spoglądano ze wszech stron ciekawemi oczyma, usiłując odgadnąć go i wyczytać z postawy, jakim sercem związek ten przyjmował. Lecz to było trudnem. Królewska twarz z wiekiem coraz poważniejsza, zastygająca, nie zdradzała uczuć łatwo, gdy występował przed narodem. Był to król, który się żenił — człowiek się nie zdradzał.

Księżniczka była młoda, świeża, rumiana, w całym rozkwicie wdzięków, onieśmielona razem i uszcze-

śliwiona tem, co ją spotkało. W dumę wbiła ją korona, lesz i napelniała trwogą. Dotąd zabawiała się dobrze na dworze ojcowskim, obcowała swobodnie z panami, z rycerstwem, z mnóstwem gości z Niemiec przybywających; lubiła tany, śmiechy i rozmowy wesołe. Teraz królową będąc, okryta płaszczem purpurowym, z licznemi klejnotami, wydawała się ofiarą, uwieńczoną na jakiś obrzęd, który siły jej wyczerpywał. Czasem tylko oczy jej zbiegły ku dawniej znajomym twarzom, policzki okrywały się nagłym rumieńcem i wnet bladość wracała na nie.

Wśród gości ze wszystkich ziem polskich przybyłych, znajdował się i Maciek Borkowicz, który by świetnym poczem uczyć królewskie wesele, przybył z Wielkopolany.

Zabiegając temu, by go nie podejrzrywano o jakie złe myśli względem króla, wyrывał się chętnie naprzód, ukazywał wszędzie, odzywał głośno i czynny udział brał w zabawach weselnych.

On i brat jego Jaśko z Czacza, występowali z niezwykłym przepychem. Obadwaj niepospolitej siły, w rycerskich sprawach zręczni i wprawni, stawali obaj do wszystkich igrzysk, poodziewani w wykwintne stroje, odznaczając się końmi i rzędami.

Maciek nastroczał się ciągle na oczy królowi, nadbiegał gdziekolwiek go dostępnym spostrzegł, spieszył tam, kiedy mu się zdawało, że woli i życzeniu pańskiemu będzie mógł dogodzić.

Nie bardzo mu się jednak z tem wiodło, król, choć nie okazywał mu wstrętu, nie dawał też naj-

mniej szej oznaki przychylności. Spoglądał nań ciekawie z dala.

Pierwszych tych dni, czasu igrzysk w szrankach, w których młoda królowa była przytomną — Maciek, ubrany i zbrojny z wielką wykwintnością i blaskiem, widocznie szukał miejsca, aby się jej pokazać i zwrócić na siebie jej oczy.

Poznała królowa, lecz im mocniej się narzucał, tem uporczywiej zdawała się unikać nawet pobieżnego nań spojrzenia. Drżała, ilekroć głos jego dał się słyszeć i odwracała głowę z trwogą i niepokojem.

Borkowicz, wśród gości zamkowych, był jednym z najruchawszych, przy stole jednym z najgłośniejszych i najlepiej udający wielkie uszczęśliwienie. Dziwili mu się ci, co go w poufałym obejściu znali innym.

Neorża, który też tu dla oka ludzkiego się znajdował, spoglądał na Borkowicza, jakby nie dowierzał oczom i uszom. Zdawało mu się, że człowiek ten kłam zadaje dawnym swym sprawom i na nową wchodzi drogę, chociaż ukośne, szydercze spojrzenia Borkowicza objaśnić mogły go inaczej.

Król, który się kilka razy w ciągu dnia tego zbliżał do żony, chcąc ją ośmielić, widząc ją jakoś bardzo znekaną i zbyt bojaźliwą, w końcu uznał najlepszem, pozostawić ją z paniami dworu i gośćmi, którzy ją otaczali. Rozmawiał z kolei z kilku starszymi o sprawach różnych, przypatrywał się tańcom i zabawie, czynił co mógł, aby się okazać wesołym, lecz widać w nim było roztargnienie i smutek.

Trwające już dni trzy ucztowania, nie dziw, że go znużyć mogły. Nie dziwił się więc nikt, gdy król skinąwszy na Kochana, zwolna zbliżył się ku drzwiom wiodących do swoich komnat i opuścił zabawę. Wróćce potem kilka z pań odprowadziło królowę do przeznaczonych dla niej wspañiale urządzonych komnat.

Marszałkowie jednak, podkomorzowie i inni urzędnicy dworu, mieli snać rozkaz przyjmowania gości, dopóki by się bawić chcieli, gdyż tańce i ucztowanie u stołów nie ustawało, a przytem i rozmaite toczyły się rozmowy.

— Jak na nowożeńca, miłościwy nasz pan, trochę ma za posępną minę — szepnął do siedzącego przy sobie Ligenzy, młody panicz z Melsztyna.

— A przypatrzyliście się dobrze królowej? — zapytał tenże. — Że hoża jest, nie przeczę, ale zdaje się także smutna i jakby wystraszona.

Ligenza ruszył ramionami.

— Królowa Jadwiga może sobie przypomina swoje poprzedniczki — rzekł — począwszy od Aldony.

Spojrzeli na siebie, lecz żaden z nich dłużej téj rozmowy prowadzić nie chciał, bo w téj chwili zbliżył się do nich rubasznie rozochocony, wszędzie się wciskający Maciek Borkowicz.

Zdawało się, że zachwyił coś z tego, co mówili, bo wtrącił spoglądając na Ligenzę

— Za wdowców iść za mąż i wdowcom się żenić, choćby królami byli, niedobra to sprawa! Uważaliście, jaki król posępny, choć się śmieje? Bo mu też biskupi pono gwałtem naraili tę białą gołąbicę

ślazką? Nie dałbym złamanego grosza za to, że wkrótce ją król napowrót, z kąd przybyła, odeśle.

— Nie mówcież tak — wtrącił młody panicz z Melsztyna. — Ktoś posłyszysz i ogadają was znowu...

— Ogadany już jestem — rozśmiał się Borkowicz — a to co mówię, o tem śpiewają wróble na dachu właśnie dla tego, iż mi króla żal i że go miłuję... z litości stękam nad jego dolą. Biedne pani-sko nasze! no, i biedna nasza królowa!

Spojrzał na siedzących przy sobie, a Ligenza, który go nie lubił, mruknął:

— Hej! hej, panie starosto! mnie się zda, że nie-jeden co króla żałuje, prędjéj mu zazdrości... Szczególniej wy, coście pono na ślazkim dworze bywali, a gadki chodziły o was, żeście się do księżniczki przysuwali bardzo... nie powinniście się tak odzywać.

Borkowicz się zasępił.

Wspomnienie o tem, czego on jeszcze nie życzył sobie rozgłaszać, ubodło go. Surowo wzrokiem od-ciął się Ligenzie, z góry nań spojrzawszy, brwi zmar-szczył i oddalił się milcząc.

XI.

Wielkopolska naówczas skutkiem zabiegów starosty Borkowicza, na dwa dzieliła się obozy, z tych jeden trzymał z panem na Koźminie, drugi skupił przy jego starym wuju, wojewodzie Beńku. Łączyło ch pokrewieństwo, lecz z dawna dzieliły różnice charakterów i usposobień.

Maciek był zarazem zuchwały i przebiegły, chciwy

władzy i majątności, a na środki, jakimi szedł do do celu, nie zważał i nie patrzył. Zbroiwszy co, popelniwszy gwałt jawny, aby się nie narażać duchowieństwu, opłacał się fundacyami i pieniędzmi; w sumieniu nie czuł zgryzot weale. Namiętności panowały nad nim.

Raz sobie nabiwszy tem głowę, że w Wielkopolsce rządzić będzie, i oderwie ją od Korony, a podda Brandenburgom lub cesarstwu, sam hołdownikiem jego zostając, dążył ku temu nieustannie, przysposabiał się do buntu, liczył może na bezdzietność Kazimierza, na chwilę bezkrólewia, nimby Ludwik przyszedł do korony.

Rachuby jego były niezbyt opatrzone, nadto śmiałe wiele przeciwnych okoliczności lekcewazył sobie i pomijał, lecz miał taką ufność w siebie, iż nie wątpił na chwilę o dopięciu swego celu. Gra ta, która z daleka tłumaczyć się dawała, nie była ani tak widoczną ani tak zrozumiałą, by go oskarżyć było można i dowieść zdrady; chociaż z bliska, w samej Wielkopolsce dla bystrych oczu stawała się dotykalsną. Szlachty znaczna część skupiała się przy Macieku, wiązała się z nim i wierzyła mu ślepo. Ujmował ją też różnemi sposoby, a że mu chodziło o utrzymanie odrębności ziem wielkopolskich, tu i owdzie wygadywano się z tem, co było zamierzonym.

Beńko, mąż już w latach, lecz jeszcze silny umysłem i ciałem, wierny królowi, pokój lubiący, nieprzyjaciół wszystkiego, co go zakłócić mogło, wręcz był

przeciwny całemu ruchowi. Widział on jasno, co się przyspasabiło.

Maciek w samych początkach niezupełnie się zdradzając przed nim, starał się ująć go sobie, przez ciotkę swą, a żonę Beńka, niewiastę rozmiłowaną w siostrzeńcu i popierającą jego sprawę. Beńko, który się nie dawał łudzić, mimo przywiązanie i powolność dla żony, słuchać jej nie chciał i wręcz odpowiadał, że zdrady nie dopuści i sprzeciwiać jej się będzie wszelkimi siłami.

Maciek, który dawniej częstym bywał gościem u wuja, po kilkakrotnem żywszem z nim starciu, przestał jeździć do niego, i zerwał wszelkie z nim stosunki.

Beńko w głos i jawnie mówił, iż Maćkowi nie dozwoli knuć na szkodę Wielkopolski spisków z Brandenburgami i rozpasywać się w kraju. Donoszono o tem Borkowiczowi, który szyderczo słuchał, głową kręcił, brodę tarł i emokał.

Stosunki coraz się pogarszały.

Nieprzyjaciele Maćka otaczali wojewodę, ci którym Beńko nie był miłym, szli z Borkowiczem.

Doniesienia do Krakowa o zamiarach jego, płynęły od wojewody, Maciek wiedział o tem. Po cichu odgrażał na siebie wzajem poczęto. Porwać się jednak na Beńka nie było łatwo.

Pokrewieństwo hamowało po trosze, a więcej obawa siły, jaką miał wojewoda. Co było ludzi poważnych, statecznych, niewiedzionych obietnicami Borkowicza, stało u jego boku.

Beńko, pan ziem rozległych, które posiadał pomiędzy Gnieznem a Poznaniem, miał też dobra w Kaliskiem, mieszkał jednak zwykle w dworcu swoim w Poznaniu. Tu w mieście wpływ jego przeważał, gdy na prowincyi Borkowicz liczbą swych sprzymierzeńców był groźniejszy. Beńki przyjaciele należeli do najznacześniejszych właścicieli ziemi; Mac'ka do najuboższych ziemian, ale do najruchawszych, najzuchwalszych i rozrodzonych i skoligaconych szeroko. Wołewoda rachował na siłę swoich, Maciek na zuchwalstwo drobnych panoszków i rycerstwa ubogiego.

Do tego podziału na obozy przyczyniały się i dawne zajścia pomiędzy rodzinami, które z sobą walczyły o wpływ w różnych częściach Wielkopolski. Jedni więc garnęli się do Borkowicza, a to starczyło, by drudzy przechodzili do wojewody.

Powiedziawszy już wyżej, że Borkowicz prowadził życie obozowe, z miejsca na miejsce się przenosił, siadywał to w tym, to w owym z licznych swoich dworów. Pomagało mu to do zyskiwania coraz nowych stronników, bo gdzie zasiadał, otwierał wrota, zapraszał sąsiadów, i jednak ich czem i jak się dało.

Inne zupełnie życie wiódł Beńko, wojewoda poznański. Nie ruszał się chętnie z miejsca, nie tyle może dla wieku, co z nawyknięcia.

Dwór wojewodziński w Poznaniu, nader gościnny, roił się wprawie ciągle przybyłymi, obyczaj tu był staropolski, nie wykwiłtné przyjęcie, lecz obfite i pańskie. Dworzec stary, obszerny Beńka, był niepozorny, lecz wygodny i we wszystko opatrzony.

Spichlerze przy nim, do których zapasy ze wsi zwożono, stały pełne zboża, mąki, zwierzyny i wszystkiego czego do życia potrzeba.

Osobny browar warzył piwo na potrzebę wojewody, wielkie łaźnie dla panów i czeladzi, stajnie na parę set koni, mieściły się w podworcach do głównego przylegających. Dwór Beńki był bardzo liczny i niemal po książęcemu urządzony — miał komorników, podkomorzych, podczaszego, łowczego, a gawieź, której sam nie znał, pomnażała się ciągle. Ksiądz kapelan, który zarazem pełnił obowiązki lektora i kanclerza, towarzyszył zawsze i wszędzie wojewodzie.

Beńko bezdzietnym był, bo syna już dorosłego stracił przed kilku latami na łowach, niewiadomo jak i przez kogo postrzelonego. Poszlaki pewne były, że Maciek Borkowicz śmierci tej nie był obecnym, i że z jego namowy zbrodnia ta była popełnioną. Nie miano dosyć dowodów, aby go obwinić, było ich jednak tyle, że go podejrzывать o to było można.

Liczył Maciek — zdawało się — na to, że ciotka jego, a żona wojewody, niewiasta zaślepiona i krótkowidząca, nakłoni męża do przekazania mu spadku po sobie. W tem się omylił Borkowicz, gdyż wojewoda powziąwszy podejrzania i zuienawidziwszy siostrzeńca, ani chciał słuchać o tem. Miał sobie przysposobić dalekiego krewniaka — na co od króla zyskał pozwolenie.

Borkowicza przeciwko wujowi rozdrażniło to więczej jeszcze.

Lubo Beńko siódmy krzyżyk już liczył, był jeszcze ciągle czynny; zahartowany za młodu, gdy potrzeba było dosiadał konia, i w gołym polu nocować był gotów, i żadnego nie lękał się trudu.

Rozporządzenie ówczesnego żywota, obyczaje wieku, inne były niż dzisiejsze. Wstawali wszyscy rano ze dniem, lub przed świtem nawet.

Wojewoda, że pobożnym był i dwór chciał mieć sobie podobnym, rozpoczynał dzień od mszy świętej, albo w poblizkim kościele, lub w kapliczce przy dworze wystawionej, która choć małą była, wychodziła drzwiami na podsień, a w tych służba się cała w czasie nabożeństwa pomieścić mogła.

Przy obiedzie wojewoda gwarzyć lubił, więc mu kto mógł przynosił nowiny, aby przedmiotu do rozprawiania i podbudzanie wesołej myśli nie zabrakło. Zasiadała do stołu sama pani a często i niewiast kilka. Kapelan rozpoczynał obiad błogosławieństwem, kończył modlitwą dziękczynną.

Po modlitwie, kto chciał wstawał od stołu i odchodził, inni otaczali wojewodę i jeszcze godzin kilka z nim spędzali przy stole.

Była też to godzina, w której stary Beńko pszy zwykł był karmić pozostałemi kościami i ułamkami chleba. Wpuszczano je do izby, obsiadywały stół i ławy, a wojewoda głaskał je, gadał do nich i przytem opowiadać lubił różne historye myśliwskie.

Wstawszy wreszcie od stołu wychodził w podwórze, zaglądał do stajen, kazał sobie konie wyprowadzać, i przypatrywał się młodzieży dworskiej, która

je ujeżdżała. Często aż do wieczery tak przetrwał w podwórcach, jeżeli nie nadszedł kto z duchownych, lub jaki znakomity nie nadjechał ziemianin.

W święta i niedziele liczba przybywających zwiększała się jeszcze. Z różnych stron nie tylko z Wielkopolski przybywali goście z Kaliskiego, ze Śląska i z Mazowsza ze sprawami lub bez spraw. We dworze więc wojewody skupiały się z różnych stron przynieszone wieści.

Od czasu, gdy Beńko zerwał z Borkowiczem, szczególnie o nim i o jego krokach donoszono, wiedząc, że wojewoda odgrażał się na siostrzeńca. Co Maciek czynił, co mówił, z czem się nieostroźnie wygadał, natychmiast odbiło się to echem na dworze wojewody.

Pani wojewodzina, zawsze jeszcze słabość niejaka zachowywała dla siostrzeńca, często starała się go bronić — ale to wcale nie pomagało.

Wojewoda miał już to przekonanie na pewnych oparte dowodach, że Maciek zamierzał zdradę. Czekał tylko stósownej chwili, aby przeciwko niemu wystąpić.

— Patrzeć nie będę, aż mi rozkaz dadzą z Krakowa — mawiał. — Byle poszlak był pewny, pochwycić go każę i zamknę... Niech się sprawa wytoczy!...

Borkowicz miał swoich zauszników, a ci mu zawsze donosili, co wojewoda mówił i co zamierzał. Maciek był zły, ale śmiał się pogardliwie.

— Nim stary zbierze się na mnie, ja sobie z nim

dam radę. On trzy dni potrzebuje gadać nim za kord chwyci, a ja milczkiem go wezmę.

Na wesele królewskie, Beńko, choć chciał i powinien był jechać, nie mógł. Prawa noga, którą miał niegdyś zranioną, jątrzyć mu się na nowo zaczęła, więc leczył się.

Został tedy w Poznaniu, a gdy powracać zaczęli ci, co na wesele jeździli, przynoszono mu codzień prawie opowiadania szczegółowe, o tem, co się tam działo. Szczególniej ciekawym był Beńko, co tam porabiać będzie Maciek, który na przekorę mu jechał, i umyślnie starał się wszystkich oczy zwracać na siebie. Zuchwalstwo to, gdy zdrada, jaką knuł, dla Beńka oczywistą się zdawała, dalekich sięgało granic. Sam brzydząc się fałszem, znieść nie mógł, iż jego siostrzan króla oszukiwać się starał.

Wiedział o jego dawnych z księżniczką Jadwigą, a terażniejszą królową stósunkach, więc i to budziło w nim niepokój, a podniecało ciekawość.

Jednym z pierwszych, którzy powrócili z długiego wesela był Wierzbęta, a z tym wojewoda żył od dawna w przyjaźni, więc też zaraz posłał do niego, prosząc, aby, jak się wyrażał, odwiedził kalekę.

Przybył więc natychmiast Wierzbęta, i gdy się obydwaj sami zamknęli w komnacie, zaczął wszystko szczerze i otwarcie opowiadać. Do tego czasu starał on się bronić Maćka, i nie dowierzał, by miał być tak niebezpiecznym, lecz teraz wracał z Krakowa zakłopotany i niespokojny. Nie taił się z tem przed Beńkiem, że i on miał go teraz w podejrzeniu, z po-

wodu obejścia się jego na weselu, różnych jego nieostrożnych wygadywań i zabiegów, jakie czynić miał dla odnowienia blizkich swych stosunków z królową.

Zkąd o tem Wierzbęta uwiadomiony był, nie mówił, ale zaręczał, iż Borkowicz w czasie wesela bardzo podejrzane przedsiębrał kroki.

Wojewoda uwierzył święcie doniesieniu.

— Łotr to na wszystko gotów — zawołał — pilne nań oko mieć trzeba. Wsłiżnie się, gdy będzie mógł, jak żmija i do komnat królewskich, byle na tem co zyskał.

Natychmiast wojewoda z rozmowy tej wyciągnął wniosek, do którego dawno szukał powodu, że Maćka należało wziąć i sprawę mu wytoczyć o zdradę. Dowody stosunków jego z Brandenburgami były niezbite. Zbliżania się do młodej królowej, zdaniem jego, nie należało dopuszczać, i zapobiedz mu co rychlej.

Wierzbęta nie radził pospiechu lecz był za pilnym dozorem.

Beńko rozgorączkowsywał się straszliwie i przy swoim obstawał.

— Mam mocne przekonanie! — zawołał — że ten warehoł licha nam nawarzy! po co czekać? Zobaczycie, że gdy go wezmę i zamknę, ludzie, co się dziś go boją i milczą, ockną się i dopiero opowiedzą, co knuł właściwie.

Mówiąc to wojewoda w pierści się bił i miotał, aż chorą nogę uraził i z bólu syknął.

Wierzbęta widząc, że go ułagodzić nie zdoła, rzekł tylko:

— Z Borkowiczem w ten sposób skończyć nie przyjdzie wam łatwo. Człek to przebiegły, ostrożny, otoczony zawsze takimi jak on ludźmi zuchwałymi. wziąć się tak gołą ręką nie da, potrzeba więc dobrze pomyśleć, zabezpieczyć się, aby go do jakiego szaleństwa nie popchnąć, gdy się dowie, że na niego czyhają.

Wojewoda wszystkich tych przestroóg słuchać nie chciał i obstawał przy swoim.

Rozprawiali jeszcze dość długo, wreszcie Wierzbęta pożegnał się, doradzając umiarkowanie i ostrożność.

Pozostawszy sam, stary wojewoda nie uspokoił się rychło, pilno mu było, co raz postanowił, wykonać.

Jak wszyscy podżyli ludzie, którzy już sami przez się nie wiele mogą, a umysłem są czynni, Beńko miał od lat kilku prawą rękę w Rusinie, którego niegdyś w Krakowie spotkawszy, do usług swych przyjął i całkiem mu zaufał po wielu próbach.

Człowiek ten cały w sobie zamknięty, nigdy się z nikim nie rozgadywał, lecz oko miał bystre i na wszystko dawał baczenie. Łatwo mu było wcisnąć się wszędzie, bo miał niepozorną prostego chłopą powierzchowność i odziewał się z prosta, nikt go też o przebiegłość nie posądził, bo twarzą niczem się nie zdradzał. Wojewoda używał go wszędzie, gdzie tylko zaufanego człowieka potrzeba było. To też ten Rusin Panas, śledził z rozkazu wojewody wszystkie obroty Maćka Borkowicza.

Zaledwie odjechał Wierzbęta, gdy niecierpliwie starzec posłał po swego ulubieńca. Był on pod ten

czas nadzorcą nad dworem i wiele do czynienia nie miał.

Panas stawiał się natychmiast w swej długiej sukni i kołpaku, które zwykł był nosić, gdy mu na konia siadać było potrzeba. Swoim zwyczajem w progu stanął, zgiał się, rękę aż do ziemi wyciągnął z pozdrowieniem, i czekał pańskiego słowa. Wojewoda kazał mu się przybliżyć.

— Sprawę mam ważną, którą ci chcę powierzyć — rzekł. — Pospiechu nie wymagam, rozważyć musisz wprzód dobrze, jak począć, aby nie chybiła. Ale bardzo z tem przeciągać nie można.

Panas dał znak głową, że rozumie.

— Z Borkowiczem nam raz skończyć potrzeba — mówił Beńko, głos zniżając — żywa dusza o tem wiedzieć nie powinna.

Powtórnie się schyliła głowa Panasa.

— Musimy go ująć — dokończył z cicha wojewoda, patrząc mu w oczy.

Panas stał nieruchomy.

— Nabroił on już dosyć — prawil dalej Beńko. — To co wiemy, starczy, aby go karać, a jest jeszcze może więcej, o czem nie wiemy. Postanowiłem osadzić go w więzieniu, a reszta, to już moja sprawa.

Panas słuchał z wielką uwagą i zadumał się.

Trochę zaniepokojony tem wojewoda, nie odbierając odpowiedzi, poczekawszy chwilę, mówił dalej:

— Wiem ja to, że sprawa z nim nie łatwa.

Ulubieniec potwierdził głową.

— Ale od czegoż rozum? — rzekł, uśmiechając

się starzec. — Człek możny, koło niego tałatajstwa różnego dosyć, zbóje wszyscy, jego nie wyjmując; ale dla ciebie Panasie, wszystko to łatwe, byleś chciał, będziesz wiedział, jak go osaczyć i napędzić do jamy.

Panas i na to nie odpowiedział. Wojewoda zmarszczył się trochę.

— Gadajże — zawołał — cóż ty myślisz?

Tak schwytany Panas wzruszył ramionami.

— Co trzeba, to trzeba — mruknął — ale sprawa to trudna. Ojcie — rzekł po krótkim namyśle — dajcie mi się rozwieźć. Hm?

— Idź, jedź, bierz kogo chcesz — odparł wojewoda — powracaj mi prędko z językiem.

Posłyszawszy to sługa, pokłonił się, mruknął: — rozumiem — i wyszedł.

Wojewoda, zawierzwszy tę sprawę ulubieńcowi, trochę się uspokoił.

Wieczorem, choć mu ból w nodze dolegał, wyszedł o kiju do jadalni, bo mu się nudziło w ciemnej komnacie i bez ludzi.

Po wiczerzy żona mu rękę podała, odprowadzając go do sypialni. On prosił, aby usiadła przy jego łóżu, dopóki go sen nie obejmie.

Choć dobrze wiedział, jak ona Borkowicza lubiła, przed żoną z żadną on sprawą tać się nie mógł. Rozpoczął więc opowiadać jój po cichu, co od Wierbięty słyszał i co wskutek tego postanowił.

Drgnęła pani wojewodzina i nie dając znać po sobie, jak bardzo ją to obeszło, słuchała ciekawie

Beńka, który choć milczeć postanowił, rozgadał się był i zwierzył jejności ze wszystkiego.

Ona nie śmiała mu się sprzeciwiać, chociaż złożone jęć ręce drżały ze strachu i żalu. Siostrzan nie przestał być jęć miłym, swoich dzieci nie miała, więc go tem bardziej kochała. Wszystko co Maciek dokazywał i broił, tłumaczyła sobie to potwarzą, to ludzką słabością, to krwią gorącą. Przekonana, że męża rozgniewanego rozbroić nie zdoła, nie otwierała ust, lecz łzy z pod powiek jęć się toczyły. W stosunku z księżniczką Jadwigą widziała staruszką miłość, i serce jęć tem większe miało politowanie nad siostrzeńcem.

Gdy wojewoda, wygadawszy się do sytości, dokończył, wojewodzina szepnęła nieśmiało słów kilka, prosząc o miłosierdzie dla Maćka, i aby ukryć swe wrażenie, zabierała się do odejścia, wojewoda za odchodzącą zawołał jeszcze:

— Dziękować mi ten łotr powinien, gdy go uwięzić każę, bo mu przez to łeb ocale, i nie dam popełnić tego, za coby gardłem płacić musiał.

Tak się rozstali, a wojewodzina do swęć komnaty przyszedłszy, uklękła i gorąco modlić się poczęła, a przy tęg modlitwie zdawało jęć się, że powinna była nieszczęśliwego, choć obląkanego ratować. Jak? nie wiedziała sama.

Noc upłynęła jęć we łzach i niepewności.

Nazajutrz po mszy świętęg, kapelan, wierny jęć doradzca, powołany został na pomoc. Wojewodzina

nie przyznając mu o kogo to szło, podała mu tylko pytanie, coby w takim przypadku uczynić wypadało.

Kapelan tyle tylko mógł odgadnąć, że człowiekowi dać trzeba było czas do skruchy, opamiętania się i pokuty. Jako duchowny nie mógł inną dać rady, jak taką, jaką religia nakazywała. Głosował więc żarliwie za ocaleniem człowieka.

Postanowiwszy ratować Maćka, po odejściu kapelana wojewodzina zaczęła przemyśliwać nad środkami, jakby ostrzedz siostrzeńca, a nie ściągnąć na siebie gniewu męża. Stosunki z Borkowiczem były zerwane, wszyscy dworzanie mieli zakaz surowy nie zbliżać się do niego, a zresztą i znaleźć było go nie łatwo, bo Maciek nigdy długo nie pozostawał na jednym miejscu.

Listów posyłać w owych czasach nie było zwyczajem. Obawiano się zdrady pisma, niewiasty wiele pisać nie umiały, potrzebowała więc wojewodzina pośrednika, a tego się lękała.

W tej niepewności wojewodzina uciec się musiała do biskupa, o którym wiedziała, że był to mąż chrześcijańskiego ducha, nie skory do potępienia i miłosierny.

W chwili gdy Panas z Poznania wyjeżdżał w małym poczcie po cichu... inną drogą przesłana przestroga... goniła za Maćkiem po dworach, które objeżdżał.

XII.

Maciek Borkowicz po powrocie z Krakowa, nie pojechał ani do Koźmina, ani do żadnego z swych licznych dworów, ale do brata do Czacza, u którego

był jak w domu, i tu zbiegały się gromady jego stronników, aby z ust wodza usłyszeć co dalej czynić i jakie on miał nadzieje.

Borkowicz, jak wszyscy tego rodzaju ludzie, wążący się na wywrót i zaburzenia, aby z nich korzystać, więcej mówił i obiecywał, niż sam trzymał o tem, co czynił, sądząc, że kłamstwem podniesie w swoich mieztwo i ochotę do buntu. Zaręczał im więc, że umowę miał z Brandenburgami, że słazcy książęta przyrzekli mu pomoc, że Krzyżacy popierać go będą. Ponieważ wiodło mu się dotąd szczęśliwie, nikt o prawdzie słów jego nie wątpił. Ziemianie ciekawi, uienustannie zjeżdżali się dowiadywać. Borkowicz coraz głośnieij i śmielėj przemawiał.

Trwało to już dni kilka, gdy jednego wieczora proboszcz miejscowy, człowiek spokojny, który się rzadko ukazywał we dworze, przyszedł pieszo o niezwykłej godzinie.

Czcigodny kapłan, znając dobrze Borkowiczów, unikał wszelkich z nimi stósunków. Zjawienie się jego we dworze, i to jeszcze w czasie pobytu Maćka, uderzyło wszystkich.

Brat starosty, sądząc, że szło o jaką sprawę sporną z probostwem, chcąc się księdza jako niepotrzebnego świadka pozbyć jak najprędzej, wyszedł naprzeciwko niemu, lecz proboszcz powiedział mu po cichu, że chciał tylko pomówić słów kilka z panem starostą.

Chociaż Maciek z duchownymi nie żył w wielkiej zażyłości, teraz chcąc sobie wszystkich ująć,

zbliżył się do niego, posadził obok siebie na ławie i podał mu kubek z węgrynem.

Stary ksiądz milczał, bo w izbie było osób za wiele, aby się w poufne wdawać rozmowy.

— Panie starosto — rzekł wreszcie z cicha — przychodzę do was, nie w mojej sprawie, ale w waszej własnej, nie po mój woli, ale z wyższego rozkazu: przejdźmy do komnaty osobnej, tak aby tego nie spostrzeżono.

Borkowicz zdumiał się wielce. Spojrzał pogardliwie na ubogo odzianego księdza i rzekł dumnie:

— Toż chodźcie za mną tu do tej przyległej komory.

Gdy tam weszli, zapytał:

— Co mi macie do powiedzenia?

Proboszcz zbierał się długo, nim mówić zaczął. Szyderski i dumny ton starosty drażnił go.

— Mam polecenie do miłości waszej — rzekł poważnie. — Posłano mnie do was, choć prawa nie mam powiedzieć, kto mi dał ten rozkaz i czyją spełniam w tem wolę. Ale dobrze wam życzy i stoi wysoko ten, co wam przeczemnie śle ostrzeżenie. Nowe na was oskarżenia poszły do majestatu, jesteście obwinieni. Wojewoda, wuj wasz, zmuszony was ująć i osadzić w więzieniu.

Borkowicz zerwał się z siedzenia równemi nogami.

— Mnie ująć? do więzienia wtrącić? — krzyknął na cały głos. — Stary dziad oszalał chyba! On mnie!

Ksiądz dał mu się wyburzyć.

Borkowicz zbliżył się do niego, żądając natarczywie wyjaśnienia.

— Możecie ze mną począć co wam się podoba
— odparł proboszcz spokojnie — więcej nad to, co mi polecono, nie powiem wam.

— Kto wam to polecił? — domagał się Maciek.
Ksiądz mileząc głową potrząsał.

— Nie może być, aby temu staremu niedołędze zachciało się rzeczy, która jest nad jego siły — zawołał Maciek. — Chcą mnie tylko nastraszyć, ludzi mi rozpedzić! to zdrada! to podstęp!

— Myślcie o tem, jak chcecie — odparł proboszcz — ja tyle wiem, co mi powiedzieć kazano, i to wam mówię. Wojewoda postanowił was uwięzić, podobno już są rozkazy wydane. Macie się strzedz, na baczności mieć, a co najrychlej oczyścić się przed samym wujem i w Krakowie.

Borkowicz oburzony począł wymyślać na króla, na wuja, a wreszcie i na księdza, lecz widząc, że z tegoż nic więcej wydobyć nie zdoła, pozwolił mu odejść w spokoju.

Gdy goście jedni się rozjechali, a drudzy poszli na spoczynek, Maciek z bratem i synem zaczęli się naradzać, co im czynić wypada.

Borkowicz upierał się przy tem, iż oznajmienie było podstępem dla onieśmienia go.

Jaśko z Czacza wpadał na myśl inną.

— Wojewoda gniewny na ciebie, zaufany w sobie — rzekł. — Siły twój nie zna, ślepym był zawsze, dziś do reszty stracił rozum. Kto wie? Mógł pomyśleć o tem, żeby cię uwięzić, a nasza ciotka wojewodzina, ulitowawszy się, ostrzedz cię kazała.

Borkowicz zamyślił się. Trafne przypuszczenia brata zachwiały jego przekonaniem.

Ponieważ ludzi sobie oddanych miał w Poznaniu, a nawet na dworze Beńka, téj saméj nocy wyprawił dwóch zaufanych ziemian po wieści do miasta. Choć nazajutrz miał wyjechać do Koźmina, wołał zatrzymać się w Czaczu, czekając na powrót wysłanych szpiegów.

Dwa dni upłynęły, nim jeden z nich powrócił. Nie dowiedział się on nic więcej nad to, że wojewoda zaufanego swego Panasa gdzieś wysłał tajemniczo. Budziło podejrzenie i to, że Beńko ściagał do siebie mnóstwo zbrojnych ludzi. Borkowicz sposępniał.

Drugi szpieg przybył wkrótce z potwierdzeniem wieści i z doniesieniem, że się na dworze wojewody do jakiegoś stanowczego gotowano kroku, że tenże częste i potajemne miał rozmowy z Wierzbiętą i wiele tym podobnych przywiózł plotek.

Przestroga więc proboszcza, który się już więcej nie pokazywał, zaczęła nabierać innego znaczenia.

Maciek przechylał się na stronę brata. Nim wyruszył do Koźmina, kazał swoim koniecznie wysłedzić, dokąd posłano Panasa, bo tego się obawiał.

Nie łatwo jednak było jego wytropić drogę. Upłynął tydzień, a o Panasie nikt dostać nie mógł języka. Wybierał się tedy starosta z poczem zbrojnych ludzi do Koźmina, gdy dano mu znać, że Panas do poznania trudny, w prostéj siermiędze, w gospodzie niedaleko Czacza siedział od tygodnia.

Wiadomość ta przed wieczorem nadeszła do

dworu, a przed północą Maciek sam, Jaśko i kilkudziesięciu ich ludzi ruszyli otoczyć gospodę.

Borkowicz ledwie z niecierpliwości konia doczekał, tak mu było pilno... Rwał się i kłął, wołając:

— Żeby mi Rusin nie uszedł, bo wam wszystkim łby porozbijam!

Gospoda stała na drodze pod lasem, w miejscu kędy przejazd do Poznania był znaczny. Podróżnych, zwłaszcza pod wieczór zawsze tam mnóstwo było, ale o tych nie dbali wcale Borkowicze.

Ogień już zgaszony był w izbie i wszyscy w gospodzie spać się zdawali. Gdy obstawwszy ludźmi swymi szopy, Borkowicz kazał się do wrót głównych dobijać, i potem kazał ludziom nikogo nie wypuszczać i starannie przeszukiwać gospodę jako i szopy.

Wprawni do tego ciury starosty strzegli całą gospodę, nie zważając, iż ją zapalonemi łuczywami i pochodniami w perzynę obrócić mogli, ale nie znaleźli Panasa.

Już odchodzić mieli z niczem, gdy jeden z tych zbójów Borkowicza, wlaź pod sam dach po drabinie i tam oko w oko spotkał się z Panasem, który go mieczem tak ciął, że padł trupem. Padając krzyknął, rzucili się ku niemu drudzy i Rusina schwyciwszy, choć ich strasznie porąbał, ściągnęli na dół po drabinie, i dwaj Borkowicze sami zadali mu śmierć. Trupa obejrzano przy pochodniach, odzierając go do naga i wątpliwości nie uległo, że to był ten, którego szukali.

Gdy z wycieczki powrócili, nradowany Borkowicz zawołał głośno:

— Niechże pan wojewoda na siebie baczy, a z nory nie wyłazi, bo nim on będzie mnie miał w dybach, położę go trupem na postrach drugim! Kto mnie wojnę wypowiada, choćby mi nie wujem, ale bratem był rodzonym, temu gębę stulę na wieki.

Mówiąc to walił Maciek w stół pięścią, a brat i syn milezeli widząc, że wszelkie przedstawienia na nieby się nie zdały.

W Poznaniu tymczasem wojewoda zaufany w Panasa rozum i zręczność czekał niecierpliwie na powrót jego. Codzień rano zapytywał się, czy Panas nie wrócił, aż wreszcie nadeszła wieść o napadzie na gospodę i o zabójstwie Panasa.

Stary Beńko począł od tego, że się rozplakał po wiernym śhidze, ale natychmiast ochłonawszy z żalu poprzysiągł, że go pomści.

Z wielkim zapalem zaczęto się z rozkazu jego sposobić do oblawy na Borkowicza.

Wojewoda, którego noga już się była zagoiła, nikomu dowództwa jój powierzyć nie chciał, ale sam z swymi ludźmi jechać postanowił. A że tajemniczy z tego nie czynił przed żoną, przestraszona wojewodzina na klęczkach go prosić zaczęła, aby się wstrzymał od kroku, w jego wieku tak niebezpiecznego.

Wojewoda na prośbę jój nie zważał, przypisując troskliwość jój obawie o siostrzeńca. Tem usta jój zamykał.

Beńko, z pierwszego ochłonawszy gniewu, byłby

jednak może tę obławę na później odłożył, gdyby go nie była doszła wieść, że Maciek na życie się jego odgrażał. Posłyszawszy to odmłodził z gniewu. Wysłał zaraz na zwiady, gdzie się Maciek znajduje, i postanowił ciągnąć nań prosto na Koźmin.

Strwożona przedtem o siostrzeńca biedna wojewodzina, lękała się teraz bardziej jeszcze o męża, który ani siłą, ani przebiegłością nie mógł się równać z Borkowiczem. Straciła całkiem głowę, modliła się, płakała, wreszcie rozchorowała się niebezpiecznie.

Beńko, który do towarzyszeki długiego życia szczerze był przywiązany, odłożył wyprawę, gdyż żona wkrótce nie lekarza, ale księdza zażądała, zgon przezuwając.

Na łożu śmiertelnem ostatkiem głosu zaklinała jeszcze męża, ażeby dla pokrewieństwa do sprawy z siostrzeńcem się nie mieszał i zdał ją na Wierzbicę.

Zmarła wojewodzina. Beńko wyprawiał pogrzeb wspaniały i stypę — zamknął się na dni kilka, opłakując żonę; potem przywołałszy kapelana i kancelarza poznańskiego, sporządził testament, majątności przekazując stryjecznym, a wieś jedną na nabożeństwo pośmiertne i msze św. za dusze zmarłej i swojej, wikaryuszom katedry poznańskiej.

Dopełniwszy tego, na nowo się do wyprawy na Borkowicza sposobić zaczął.

Czasu dosyć upłynęło; o starości słyszeć było, że swoim zwyczajem po Wielkopolsce się przejeżdżał i żalów i skarg nań przybywało codziennie.

Chodziły wieści, że nieprzyjaciół dawnym zwy-

czajem pozbywał się, po gościńcach ich napadając lub ludzi na nich nasadzając, i że na dwory najeżdżał i gwałty ciągle popełniał bezkarnie.

Nim obmyślono obławę i wyprawę na Maćka, wojewodzie wypadła potrzeba jechania do majątności swoich w Kaliskiem. Wybrał się z poczem niezbyt licznym, odłożywszy rozprawę z Maćkiem, lekceważąc jego pogrożki.

Koni miał ze sobą ze dwadzieścia, a że dla bolącej nogi konno dalekiej podróży odbywać nie mógł, jechał na wozie krytym.

O Borkowiczu słyhać jakoś w całej okolicy nie było.

Podróż Beńka, zapowiedziana wcześniej, bo z niej tajemnicy nie czyniono na kilka dni nim wyruszył z Poznania, wszystkim była wiadomą.

Na wsiadaniu przybył doń Wierzbęta, a zobaczywszy orszak mały i nie tego uzbrojony, miał sobie za obowiązek przypomnieć wojewodzie, że z Borkowiczem mógł się gdzie spotkać.

Ufny w swą powagę wojewoda rozśmiał się tylko na tę przestrożę,

Pierwszego dnia podróży nic się nie trafiło coby zaniepokoić mogło. Zawczasu przygotowany nocleg czekał na Beńka o mil pięć od Poznania. Za dnia przybyli do wsi, w której kmieć najzamożniejszy chaty swój odstąpił staremu wojewodzie.

Wioska leżała na skraju lasu, a chata w niejakiem od wioski oddaleniu. Beńko położył się zawczasu, aby wypocząć i nazajutrz rano w dalszą wyruszyć

drogę. Czeladź jego i żołnierze nie spali jeszcze i przy ognisku roznieconem siedzieli opodal chaty, gdy naraz jak burza przypadła gromada konnych, z krzykiem i wrzaskiem wprost biegnąc na chatę.

W okamgnieniu rozbrojono orszak wojewody i Maciek Borkowicz drzwi chaty wyłaniawszy z mieczem dobytym wpadł do chaty, krzycząc:

— Gdzie ten stary dziad? gdzie ten, co mnie chciał więzić?

Beńko, który od młodości zwykł był mieć przy łóżku kord z pochwy wyjęty, porwawszy się z łoża z młodzieńczą odwagą stanął do obrony w pośrodku ciasnej izby. Walka była nierówna, gdyż Borkowicz nie tylko, że młodszy i silniejszy, ale i uzbrojony był, gdy Beńko w koszuli z pościeli się zerwał.

Poczęli się rąbać, lecz każde cięcie Maćka raniło, tak że krew wojewody pryskała, gdy miecz tegoż szczybił się próżno, — na żelaznej zbroi przeciwnika. Zmuszony w tył się cofnąć wojewoda, ośliznął się na krwi własnej i padł na wznak na łożo, a neliutościwy Borkowicz leżącego i bezbronnego ugodził tak mieczem w samę piersi, iż ten z krzykiem Jezus! Marya! wyzionął ducha.

Ludzie wojewody w części rozproszeni, pochwytani choć się kilku z nich bronić chciało do ostatka, zobaczywszy zabitego pana, strwożeni rzucili broń i puciekali.

Gawiedź Borkowicza natychmiast porabowała co było na wozach i koniach i Borkowicz upojony, tryumfujący szydząc a odgrażając się, że wszystkim

nieprzyjaciółom swym taki zgotuje los — odjechał zaraz do Koźmina.

Napad i zabójstwo były tak jawnie wobec tylu świadków spełnione, iż Borkowicz, który zacierać umiał inne swe sprawki, tej wcale taić nie myślał i oświadczał głośno, iż wyzwany przez wojewodę zabił go w pojedynku.

W Poznaniu strworzyli się niemało ci, co z nim nie trzymali, obawiano się nawet, aby nie opanował miasta. Wierzbięta, dowiedziawszy się o śmierci przyjaciela, sam po zwłoki jego pojechał i natychmiast wysłał gońca do Krakowa z obszernem na piśmie oskarżeniem Borkowicza, opisując wszystkie jego sprawy, nie tając nawet, jakie potwarze śmiał on dawniej rzucić na młodą królowę.

Król kochał Beńka wielce, nie wątpiono więc, że miarka Borkowicza się przebrała, i że go surowa czeka kara.

Jakoż wskutek gońca Wierzbięty, od króla przybył urzędnik i woźny, powołując Borkowicza na sąd do Krakowa bez zwłoki.

Starosta przyjął to wezwanie z lekceważeniem, urzędnika i woźnego obdarzył, nakarmił, opoił i — do Krakowa nie pojechał.

XIII.

W Krakowie król wiadomość o zabiciu Beńka przyjął z wielkiem oburzeniem przeciw Borkowiczowi nie mniej gniewały go doniesienia Wierzbięty, o widocznych zamiarach buntu starosty, o jawnem już prawie znoszeniu się tegoż z Brandemburczykami i o po-

twarży jaką śmiał rzucać na królowę. Król postanowił zatem wymierzyć surową, sprawiedliwą karę.

Gdy więc wysłani po Borkowicza gońce powrócili z niczem, mówiąc, że starosta z nimi jechać nie chciał, król wpadł w gniew nieopisanym. Przechodził się w wielkiem wzburzeniu po komnacie, z iskrzącymi oczyma powtarzał:

— Człowiek ten zginie, a śmiercią taką, aby dziesiąte pokolenie ją popamiętało, jak ma szanować królewski majestat.

A potem kazał przywołać Kochana.

Rawa stał już w progu. Zobaczywszy go, Kaźmirz przeszedł się po izbie milezący, jakby chciał czekać dopoki nie ochłonie z gniewu. Potem stając przed swym ulubieńcem, rzekł surowo:

— Maciek Borkowicz, ten zbój, buntownik i potwarca, nie stawiał się na moje wezwanie do Krakowa... jest to pogarda majestatu królewskiego, wołająca o pomstę do Boga. Tobie więc daję polecenia, abyś dostawszy sobie stosowny orszak zbrojnych ludzi, pojechał do Wielkopolski, wyszukał Borkowicza i dostawił go tu do Krakowa, żywym lub zabitym.

Kochan, który się bynajmniej takiego polecenia nie spodziewał, stał jak ośupiarty. Tłómaczyć się, ani od tego wypraszać nie było sposobu. Rozkaz ten stanowczy, nieodwołalny, z jednej strony był dlań zaszczytnym, z drugiej strasznie trudnym i przykrym. Wiedział Kochan, iż zadanie łatwem nie było, że złoczyńca silny, przebiegły, zuchwały w obronie życia, mógł się posunąć do ostateczności. Spełniając po-

ślannictwo Kochan mógł przypłacić życiem. Kochan, milcząc, zwiesił głowę.

— Słyszałeś — powtórzył król — idź wybieraj się w drogę. Spiesz, aby ci nie zbiegł. Jeśli uciecze, biegnij za nim! Jedź i nie daj mi czekać na spełnienie rozkazu.

Rawa chciał coś przemówić, lecz spojrzawszy na króla, nie ważył się, głowę pochylił i wyszedł.

Gdy po odejściu Rawy ksiądz Grzymalita wstał do komnaty królewskiej, Kaźmirz rzekł do niego z goryczą:

— Otóż macie przykład z tego Borkowicza, czem jest rycerstwo moje, czem dla mnie ziemianie, którzy być powinni podporą tronu. Rzucają mi w oczy, jako zbrodnię, żem umiłował chłopów, że żydom daję opiekę, że bronie mieszczan. Na Boga! zaprawdę, tak czynię, bo w tamtych pokrzywdzonych czuję, że mam przywiązanie, u ziemian zaś za dobrodziejstwa odbieram niewdzięczność i zdradę! Takci jest. Nie taję! Jednych podnieść pragnę, drugich okiełznać. Sprawiedliwa rzecz, i winy za nią przed Bogiem mieć nie będę!

Ksiądz Grzymalita, jako dziecię ziemian i jako potomek rycerstwa, uczuł się temi słowy dotkniętym.

— Miłościwy panie — rzekł — dla jednej owcy parszywój, stada całego potępiać się nie godzi.

— Gdyby jedna tylko w niem była! — zawołał król. — Wiem ja i czuję, na kogo liczyć i kogo obawiać się trzeba! Któż, jeśli nie ziemianie zmusili

mnie prawie do tak wczesnego przekazania korony siostrzeńcowi, który im złote obiecuje góry?

Kapłan zmuszony był uśmierzać i pocieszać króla; pozostał przy nim długo i nie odszedł, aż go zobaczył ułagodzonym i uspokojonym. Przyczyniało się też do tego, że sprawę pochwycenia złoczyńcy powierzył Kochanowi, którego znał wierność, przywiązanie i odwagę. Wybór ten pochwalał i ks. Grzymalita.

Tymczasem Kochan wybierał się spieszenie w drogę. Dobrawszy sobie orszak z najodważniejszych towarzyszy, opatrzony pismem kanclerskiem z rozkazem schwywania starosty gdziekolwiek go napotka, udał się na tę niebezpieczną wyprawę. Potrzeba było dniem i nocą biedz za Maciekiem Borkowiczem, nimby wieść do niego doszła, co mu grozi. Szczęściem tajemnica uchowała się na dworze, a Maciek uzuchwalony ostatniem swem zwycięstwem nad wojewodą Beńkiem, wcale nie przeczuwał, co go czeka i szydził sobie z króla i rządów jego.

Z Poznania, w którym przebywał czas dość długi, wyjechał Borkowicz do Kalisza, z licznym poczem swoich, równocześnie kiedy mający go ścigać Kochan wyruszył z Krakowa. Miał nadzieję starosta, że kasztelan kaliski i mała załoga, jaka była na zamku, poddadzą mu cały gród. Ztąd chciał rozpocząć otwartą wojnę przeciw królowi, pochlebiając sobie, że mu z pomocą Brandenburezyków Wielkopolskę oderwie. Na opanowanie Poznania od razu kusić się nie mógł jeszcze, chciał raczej rozpocząć od Kalisza.

Wyslannicy jego, którzy dawno tam krążyli, dość dobre mu przynosili wieści.

Kasztelan gniewał się na króla i odgrażał; na zamku nie silna była załoga. Ochoczo i wesolo jechał starosta ku Kaliszowi. W drodze przyjmowano go wszędzie, jako przyszłego pana, ugaszczając we dworach, wyjeżdżając naprzeciwko niemu, i zapraszając w gościnę.

Po drodze już część tłumnego dworu i orszaku swego zostawił w majątności znajomego ziemianina. Do Kalisza przybył z niewielu ludźmi, cicho, nie rozkładając się nazbyt szeroko. Brata Jaśka ani syna nie miał ze sobą, i zamieszkał w gospodzie.

Po przybyciu nazajutrz posłał się dowiedzieć o kasztelana; doniesiono mu, że go nie było na zamku, bo wyjechał do swych majątności, o kilka mil od Kalisza odległych. Na zamku dowodził stary wojak. Wilezura, który tak samo, jak Borkowicz należał do herbu Napiwonów.

Dziwnem było, że Wilezura, wojak prosty, który walczył jeszcze pod Łokietkiem, owego strasznego i potężnego Borkowicza nie wiele sobie ważył.

Borkowicz chciał się z nim najpierw zapoznać i zapraszał go do siebie, ale stary kazał mu powiedzieć, że jeśli poznać się z nim życzy, niech do niego na zamek przybędzie.

Borkowicz zagniewał się z początku na tego pokrewnego, ale po chwili namysłu ruszył konno na zamek.

Zameczysko było położeniem warowne, ale go je-

szcze dotąd ręka Kaźmirzowa nie tknęła, nie odrodziło się z muru, jak wiele innych; broniły go wały, ostrokoły, przekopy, ale we wnętrzu murów mało było, więcej szop i szałasów. Nie było na co spojrzeć, tak nędznie wyglądało zamczysko, a przecież się po kilkakroć oprzeć zdołało Krzyżakom.

Wilczura, dowodzący załogą, mieszkał w izbie poczemiałej od dymu, ledwie ławy i stół mającej, a tokowisko zamiast podłogi. Tuż była łaźnia, od której buchająca para zasłaniała małe wejście.

Gdy Borkowicz wjechawszy w podwórze głośno i butnie, o Wilczurę dopytywać zaczął, w progu izby z za pary z łazienki ukazała mu się postać, w której trudno było domyślić się dowódcy załogi.

Człek tegiego wzrostu, chudy, kościsty, z szyją długą, łysy, z brodą podstrzyżoną, stał w boki się ująwszy w kaftanie i spodniach skórzanych, w narzuconej na ramiona opończy zszarzałej. Stał, słuchał, dopiero gdy srogiego hałasu narobił Maciek w podwórzu, huknął głosem silnym:

— A czegoż to chcecie od dowódcy?

Borkowicz tedy domyśliwszy się, kto to był, zsiadł z konia i szedł ku niemu z wesołą twarzą mówiąc, iż pobratymca poznać pragnął. Sam mu się przedstawił, jako starosta Wielkopolski.

Na Wilczurze ni wspaniała postawa, ni nazwisko i godność przybyłego nie zdawały się sprawiać najmniejszego wrażenia. Skłonił nieco głowę i rzekł:

— Rad jestem panu bratu, a że innej izby na zamku nie mam, jeno tę tu, więc proszę do niej.

Rad nie rad wtłoczył się Maciek, schylając w niskich drzwiach głowę. Nie był on do wielkich zbyt-ków przywykły, wszelako ta komora ciemna, w której resztki dymu, dziegieć i smołę czuć było, zarzucona, żelastwem i skórą, nie bardzo mu się podobała. Wilczura, posadziwszy po na ławie twardej i niskiej, sam usiadł obok niego.

— Cieszę się niemało, że nareszcie was poznaję — odezwał się Maciek. — Zamek mnie się widzi lichy sklejonny, król coś o nim zapomniął.

— Bo ma pilniejsze do opatrzenia — przerwał Wilczura — a u nas tu woda i ziemia bronią lepiej, niż drogie mury.

Widząc Borkowicz, że stary stawa zaraz w obronie króla, zaczął o czem innem. Mówił o sobie, o tem co on dla Wielkopolski uczynić zamierza, a potem, jakby rad krewniakowi usłużyć, i lepsze mu obmyślić zajęcie.

Kiedy się to na zamku działo, a dwaj dworzanie przybyli z Maćkiem, w podwórzu pozostawszy, chodzili około zamku, ciekawie się wszystkiemu przyglądając — na mieście zaszło coś, co nagle zmieniło położenie rzeczy.

Kochanowi Rawie zawsze i prawie we wszystkim służyło szczęście, tak mu i teraz udało się z trudnem tem ujęciem warchoła starosty. Z Krakowa wyruszywszy, duiem i nocą pędził Kochan do Poznania. Niedojechawszy tu, dowiedział się przypadkiem o wyjeździe Maćka do Kalisza. Po drodze śledząc siły przeciwnika, Kochan dowiedział się z wielką radością,

iz poczet, towarzyszący staroście, był mały, a w Kaliszu ludzi zostać miało przy nim nie wielu.

Tu wprost ku gospodzie mu wskazanej dążąc, w rynku posłyszał znowu Rawa, iż dziwnem losu zrządzeniem Borkowicz właśnie przed chwilą samotrzeć do zamku pojechał.

Szcześliwszego wypadku ani mógł się spodziewać Rawa. Chociaż konie i ludzi miał pomęczonych, musiał natychmiast do zamku nawrócić. Drugi raz się tak zdarzyć nie mogło, by Maćka samego i to w zawartem uchwycić miejscu.

Jak szalony popędził Rawa ku wrotom i najprzód obsadził swoimi ludźmi. Widząc to żołnierze, zbiegać się zaczęli, wypadł z wrót drugi pułkownik, który był pod rozkazami Wilezury, lecz temu Rawa rozkaz pod pieczęcią królewską pokazawszy, milecz rozkazał.

Dwaj dworzanie Maćka usłyszawszy u wrót wrzawę pobiegli dowiadywać się o nią, gdy Rawa ich spostrzegłszy wnet schwyć, związać i zakneblować kazał, aby nie czynili hałasu. Stało się to tak niespodzianie i szybko, że żaden z nich krzyknąć nie miał czasu.

Rawa zwijał się, jak szalony, miecza dobywszy i od wrót nie odstępując.

Chociaż wielkiego hałasu nie było, jednak czujne oko Wilezury coś posłyszało. Wyszedł więc zobaczyć, co się na podwórzu dzieje. Maciek pozostał sam na ławie. Wilezura zaledwie ukazał się w podwórzu. Rawa przyskoczył do niego z królewskim rozkazem-

Stary żołnierz osłupiał, lecz Kochan w kilku słowach objaśnił mu wszystko. Wahać się i namyślać trudno tu było. Wilczura widział z podziwieniem, jak Opatrzność Bozka złoczyńcę wpędziła do łapki, dając go w ręce sprawiedliwości.

Choć Borkowicz sam jeden był, a ludzi wielu nań czyhało, Kochan nadto go znał, by mógł pomyśleć, że się podda, nie broniąc.... Trzeba się było gotować do zajadłej z nim walki.

Wilczura zamiast do izby powracać, kazał sobie miecz i zbroję żołnierską przynieść. Ludzie pętle i powrozy przygotowali, Kochan stał korda dobywszy. Naradzano się, jakby go z izby wydostać.

Tymczasem ludzie u wnijścia ustawili się kołem, aby nie uszedł na wały, z których mógł rzucić się do wody.

Borkowicz po odejściu Wilczury, siedział spokojnie na ławie, oczekując jego powrotu. Wrzawa przytłumiona w podwórzu wcale go nie obchodziła. Lecz gdy dowódzca nazbyt długo nie wracał, Maciek zaczął się niecierpliwić, wstał z ławy, klnąc starego gbura, który gościa pozostawił w izbie samego. Nie wiedział sam, czy czekać, czy wynijść i odjechać obrażony.

Co się na zamku działo, nie mógł zrozumieć. Słyszał wyraźnie szepty, stapanie szybkie, różne biegania około ścian, stłumionymi głosy wydawane rozkazy.... Lecz i teraz jeszcze nie przeszło mu przez głowę, by się to tyczyć miało jego osoby. On, co marzył o panowaniu tutaj.

Trwało to oczekiwanie dość długo, gdy wreszcie Borkowicz, djabełem zakławszy niegościnnego Napiwona, kołpak na głowę włożył i do drzwi kroczył. Ale otwierając je, za obłokiem pary z łazienki wychodzącej, nic dojrzeć nie mógł, oprócz, że pełno ludzi stało do koła.

Schylonej w niskich drzwiach głowy jeszcze nie miał czasu podnieść, gdy niewolnik Tatarzyn, który na zamku do posług był używany i konie na arkany łapał tak zręcznie, iż mu żaden nie uszedł, postawiony umyślnie z boku, na szyję staroście zarzucił pętlę.

Niespodziewający się niczego Maciek, padł na na ziemię, ryk wydawszy z piersi, niby zwierz dziki. Wnet też całą swą ogromną siłą podniósł się, rzucił, targnął, i byłby pętlę zerwał może, gdyby kilku ludzi nie było przypadło i obaliło go, przyklękawszy mu na kark i ramiona.

Borkowicz rękoma miecza sięgał, lecz mu je w tył porwano i skrępowano, drudzy nogi, któremi broniąc się, wierzgał, wiązali.

Pomimo przewagi ludzi tylu, starosta długo się rzucał, targał i rycząc, jak mógł bronił, tak że jednemu z wiążących go ugryzł kawał ucha.

Próżny to był wysiłek: Po krótkiej chwili zbój i zdrajca leżał obalony, sznurami skrępowany, a Kochan stał nad nim z pismem królewskim w ręku, i wobec tłumnie zgromadzonych świadków, odczytał wyrok królewski, skazujący go na śmierć.

Piorun ten, który spadł na człowieka uzuchwalonego szczęściem właśnie w chwili, gdy się zwy-

ciężstwem przechwalał i nowe roił zamachy — innego byłby może ubił, Borkowicza tylko rozwścieklił. Zamiast błagać Rawę, bezcześcił go i łajał najsromotniejszymi wyrazami. Ale Kochan tak był rad, iż mu się nad spodziewanie łatwo udało spełnić rozkaz królewski, iż wcale nie zważał na obelgi.

Nie chcąc, z obawy przyjaciół i rodziny Borkowicza, trzymać go tu na zamku w Kaliszu, postanowił Rawa wywieść go jeszcze tej nocy, pod silną strażą swych ludzi do Olkusza. Tu z Krakowa miał wyglądać odpowiedzi, jaką śmiercią król go ukarać każe. Na zamku też Olkuskim bezpieczniej czekać z nim było, a nie łatwo się tam dostać przyjaciołom Maćka.

Przywiózłszy nieszczęśliwego więźnia do Olkusza, umieszczono go w lochu podziemnym, kędy żaden nie dochodził promyk światła, i obok drzwi żelaznych, do których po drabinie spuszczać się trzeba było, ustawiono straż silną.

Dziesięć dni upłynęło, nim na zapytanie Kochana, jaką śmiercią ma zginąć Borkowicz, nadeszła odpowiedź z Krakowa. Tam skargi na Borkowicza, dowody zdrady, opowiadania o zabójstwach popełnionych przez niego, płynęły tak liczne, tak obarczające, a znalazło się tylu domagających się, jak najsroższej kary, iż wyrok przywieziony brzmiał: „głodem go umorzyć“!

W tym więc lochu, po długich męczarniach, które opisywać pióro się wzdryga, zakończył, życie człowiek, którego wspomnienie pozostało długo potem na zamku Olkuskim, jak — straszna baśń z prastarych wieków.

Matejko, słynny nasz malarz, pięknym obrazem uwiecznił scenę zamykania w tym podziemnym lochu Borkowicza, skazanego na śmierć głodową.

ZAKOŃCZENIE.

Było to w ostatnich dniach września 1370 roku. Jesień już przejmowała chłodem, przymrozki ścisnęły ziemię, niebo osłonięte chmurami, rzadko promieniom słońca przecisnąć się dawało.

W Krakowie tęskniono za królem. Dawno go tu już nie było. Wybrał się oglądać zamki, naznaczać gdzie budować nowe, i gdzie karczować gościniec. Objechał był Wielkopolskę, ciągnąć miał przez Sieradzkie na południe i zatrzymał się w niedawno ukończonym zamku swoim, w Przedborzu.

Spodziewano się go z powrotem, lecz król nie wracał.

Wieczorem ostatnich dni września Mikołaj Wierzynek siedział w bogato urządzonej komnacie, rozmawiając o sprawach miasta z jednym z rajców, który przybył do niego w gościnę. Nagle wśród spokojnej rozmowy, rozległo się głośnie stąpanie po wschodach, i do komnaty wpadł Kochan Rawa w stroju podróżnym, w butach załdoconych, widocznie strasznie znużony i rozgorączkowany.

Wierzynek, spojrzawszy na jego zmienione oblicze, nie zdołał go nawet powitać.

— Cóż się to stało? Czy wraca król? — zapytał.

— Nie więc dotąd nie wiecie? — zapytał na odwrót Rawa.

— Na Boga, cóż wiedzieć mamy? Mówcie, nie nie wiemy.

— Nieszczęście się stało — zawołał Rawa i potem siadając na ławie strasznie zmęczony opowiadać zaczął:

Byliśmy w Przedborzu na samo Narodzenie N. Panny. Króla namówiono na łowy. Nieszczęsny dzień, nieszczęsna godzina, bodajby był nie jechał na łowy! Kapelan odradzał dla uroczystości. Lecz król, mszy św. wysłuchawszy, pojechał. W lesie jeleni przemknął przed nim. Król puścił się za nim. W tem koń potknął się o leżący obalony pień drzewa, upadł i króla przygniótł całym ciężarem. Przyskoczyłem przerażony. Patrzę, koń na ziemi rozciągnięty, a król pod nim z nogą strasznie zranioną. W okamgnieniu zbiegło się nas dosyć, podnieśliśmy króla prawie omdlałego, obwiązaliśmy nogę chustami i zanieśli go do zamku, gdzie zaraz przywołano kilku lekarzy. Odtąd król ciągle bardzo chory, lecz pragnie koniecznie do Krakowa na Wawel być przeprowadzonym. Lekarze, nie śmiąc mu się opierać, przyzwolili na to, i otóż król przybył już do Osieka — i ja ztamtąd za rozkazem króla tu przybyłem.

Wierzynek stał, dłonie zacisnąwszy, krople łez spływały mu po twarzy.

— Ach! nie, nie! to nie może być! — zawołał. — Bóg nie dopuści, aby już miał nas zostawić! król nie jest starym, silną ma naturę, ona zwycięży chorobę.

— Nie chciałbym ani wam ani sobie odbierać

nadziei — rzekł Rawa — ale król straszliwie zmieniony, policzki zapadłe, usta spieczone, więcej drzemie i usypia, niż czuwa, przebudziwszy się, jest często nieprzytomny.

Nie mógł dalej mówić, bo w tej chwili zaczęło się zbiegać mnóstwo ludzi do Kochana, zapytując go o króla, na co on im pomimo znaczne znużenie szczegółowo o nieszczęsnym opowiadał przypadku.

Skoro tylko się potwierdziła wiadomość o rychłym powrocie króla do Krakowa, co dzień go tu wyglądać poczęto.

Nareszcie dnia 30 października oznajmiły gońce, iż dnia tego król na Wawel przybędzie. Miasto całe wyszło na ulice, a choć padał deszcz jesienny, nikt nie uszedł się schronić, chcąc się doczekać powrotu ukochanego króla.

Już pod wieczór ukazały się wozy i konie, króla niesiono osłoniętego kabłąkami, na których skóry szczelnie poopinane.

Sześciu ludzi postępowało zwolna z nim w milczeniu, a obok noszów szli pieszo z głowami spuszczone mi lekarz, dwór, urzędnicy.

Pochód ten powolny, nosze żałobne, cisza wielka, bo w tłumie żaden gwar się słyszeć nie dawał, czyniły ten powrót, królewski do pogrzebu podobnym. Lud zwolna szedł, aż ku Wawelowi za panem swym, za którym bramy się zaraz jakby na wieki zawarły.

Czwartego dnia po przybyciu Kaźmirza do Krakowa, nikt już nie liczył na jego dłuższe życie. Dnia tego ujrzano przybywającego na zamek biskupa,

który króla opatrzył Najświętszym Sakramentem na drogę wieczności. Kaźmirz w ostatnich chwilach przed zgonem odzyskał przytomność. Pierwsi urzędnicy i wojewodowie otaczali jego łożę. Przez cały dzień trwały króla narady.... Spisywano ostatnią wolę jego. Los kraju pozostał wedle dawnych umów przekazany Ludwikowi.

Dnia 5 listopada, o rannym brzasku dzwon wielki u św. Wacława poruszył się i jęknął... Wielkiej duszy pan — umarł... Płaczem rozległo się miasto.

Na tron Piastów osierocony, wstępował król węgierski, sercem obcy krajowi. Król chłopków zstąpił do grobu z przewiskiem tem, które dzieje miały na zasłużone „Wielkiego“ zamienić imię.





Biblioteka Raczyńskich

JK 1565



JK1565